

Marek Ł. J. Mazur



ZAPOMNIANY MIT

i inne historie wierszem i prozą

Marek Ł. J. Mazur

ZAPOMNIANY MIT

i inne historie wierszem i prozą



ISBN 978-83-942055-3-9

Helmowy Jar

Hej, ludu, do boju! Wróg już ku nam bieży!
Dziesiątka tysięcy orkowych żołnierzy!

Łby mają straszliwe i niemodne hełmy.
Pewnie będą chcieli obić nam dziś gęby.

Już ich ryki słyhać z tej i z tamtej strony.
Wszyscy już gotowi. Ludu, do obrony!

Stoją już łucznicy w dosyć równym rzędzie;
Któryś się odzywa: „Ale jatka będzie”.

Elf Legolas z wału rzędy orków bada,
Mrucząc: „Będzie dzisiaj rąbanka nie lada”.

A krasnolud Gimli, ten ma wymagania!
„Wolałbym stać w miejscu, gdzie mur nie zasłania”.

Śmieje się Legolas z niego odrobinę:
„Może ci, mój Gimli, tu podstawić skrzynkę?”

Śmieje się krasnolud, tryska wręcz humorem:
„Może cię, mój elfie, dzielić w łeb toporem?”

Patrzcie, to orkowie! Gęba koło gęby!
Siano mają w głowie i spróchniałe zęby.

Ryczą sobie zdrowo. Lud zachodzi w głowę,
Czy to odchrząknięcia czy krzyki bojowe.

I wreszcie umilkli, aby już po chwili
Bić włóczniami w ziemię jak banda debili.

Król Theoden wzrokiem kłęb orków przenika.
„Proszę nie odstawiać mi tutaj Rybnika!”

Mówi do łuczników: „Dość już mam tych gości.
Czekać na mój sygnał! Walić bez litości!”

Widząc jak się elfy szykują do strzału,
Mówi król: „A zresztą... Walić bez sygnału!”

Legolas łucznikom rad jeszcze udziela,
Jak najlepiej witać jest nieprzyjaciela:

„Słabsza jest przy szyi oraz pod pachami.”
„Kto?” „Orkowa zbroja! (Pracuję z durniami)”

Do wrót się ochoczo orkowie cisnęli.
Grad strzał ich przywitał. Nagle osłupieli.

Nie sądzili, że ich Theodena włości
Przywitają z takim brakiem gościnności.

Krzyczą więc orkowie: „Was się nie boimy!
Jak nas nie wpuscicie, sami się wpuscimy!”

Mówi jeden z orków: „Ja pomysł mam taki,
Weźmy sobie liny i weźmy też haki.”

Ponieważ wspinaczka to rzecz bardzo fajna,
Po chwili wspinała się cała ferajna.

Niegościnni ludzie to problem niemały,
Lecą więc na orków kamienie i strzały.

Uruk-hai wytrwali w górę pną się ładnie,
Czasem któryś stęknie, czasem któryś spadnie,

Lecz nie bez nagrody ich wysiłek będzie:
Czekają na murach już żołnierze w rzędzie.

Miecze dzierżą w dłoniach i nie wyglądają,
Jakby byli ludźmi, co orków kochają.

Ork łeb wysuwa, lecz z drugiej muru strony
Aragorn w Anduril czeka uzbrojony.

Rzecz: „Witaj gościu. Pewnie się zdziwiłeś.
Wiesz co myślę, orku? Adres pomyliłeś!”

Cios pada straszliwy, łeb orkowi ścina.
Impreza ciekawsza robić się zaczyna.

Orkowie się tłumem wdzierają na mury,
Obrońcy ich sieką bez krztyny kultury.

„Co wy nam robicie? Myśmy wasi goście!”
„Do domu się, wstrętne paskudy, wynoście!”

Będziemy się bronić do samego rana!
Nie trzeba sługusów nam tu Sarumana!”

Isildura dziedzic, nasz Aragorn Wielki,
Przeciwników z wprawą przerabia w plasterki.

Król Theoden respekt w przeciwniku budzi,

Gdy biega po wałach i wrzeszczy na ludzi:

„Trzymajcie się dzielnie, niedługo świtanie!
Patrzcie, już pod bramę taran niosą, dranie!

Helmowego Jaru orkom nie oddamy!
Legolas z elfami, do obrony bramy!”

Do boju odważnie drużynę elf wiedzie,
Krzyżąc: „Uciekajmy!” i biegnąc na przedzie.

Nasz krasnolud Gimli do rana białego
Śmiały się zapewne z tchórzostwa elfiego,

Jednak nie był wpadki Legolasa świadkiem,
Bo w piwnicy ciemnej przebywał ukradkiem,

Twierdząc, że w obronie Jaru Helmowego
Świetnie radę dadzą sobie i bez niego,

I że lekarz radził, iż, gdy chce być zdrowy,
Unikać powinien rąbanek zbiorowych.

Rzecz król Theoden: „Orkowie to chamy.
Waląc swym taranem, pozbawią nas bramy!

Orkowie to dla nas zmartwienie niemałe.
Jedźmy im naprzeciw po śmierć oraz chwałę!

Co myślisz, Aragorn, o takiej atrakcji?”
Z Aragorna strony brak wszelkiej reakcji,

Bo wojownik, co po boju ledwo dycha,
Ignoruje króla, pogwizdując z cicha.

Rzecz król: „To przecież pomysł jest na czasie!
Co o nim sądzicie? Gimli? Legolasie?”

Legolas przed lustrem poprawia swe włosy,
Mało go obchodzą dalsze bitwy losy.

„To jest przedni pomysł”, rzekł Gimli po chwili,
„Wyjść naprzeciw orkom, aby nas zabili,

Lecz ja tu zostanę, bo stare mam kości,
I w róg dla was zadnę z czystej uprzejmości.

Więc, gdy wam orkowie ścinać będą głowę,
Ja będę dorabiał efekty dźwiękowe.”

„Dobrze”, rzekł Theoden, „Świetnie, moje dzieci.
Już nie traćmy czasu, jedźmy im naprzeciw!

I niech nam orkowie roztrzaskają czachy!
Czegóż więcej chcecie? To ubaw po pachy!”

Ponurą ma minę nasz Aragorn miły.
Czy go samobójstwa wcale nie bawiły?

Konie już dla jeźdźców są przygotowane.
Nie ma to jak ginąć w tak miły poranek!

Nasz Aragorn wzdycha, jest zestresowany,
Liczne on w tym boju dziś odniesie rany.

Mając na uwadze swe zdrowie i życie,
Przystroił się w modne, stalowe okrycie.

Nadzieją się karmi, łudzi się jak umie:
„Może mnie orkowie przeoczą w tym tłumie?”

Zabrział już dźwięk rogu. Nie żałuje płuc
Nasz krasnolud Gimli. Pora wroga tłuc!

Brama się otwiera, wśród obrońców cicho
Legolasa zabrział histeryczny chichot,

I już najmężniejsi Rohanu żołnierze
Jadą wprost na orków, zmawiając pacierze.

Cieszą się orkowie: „Theoden tu bieży!
Przywitamy króla i jego żołnierzy!”

Jeszcze się radują, jeszcze sobie skrzeczą,
Nagle Gimli woła: „To Gandalf z odsieczą!”

Na wzgórzach drużyna jeźdźców, a na przedzie
Gandalf Biały z dumą na odsiecz już jedzie.

„To na pewno Gandalf, bo to go wyróżnia”,
Mówi nasz Aragorn, „że się zawsze spóźnia.

Miał być tutaj rano. Południe dochodzi!
Dostanie za swoje niesłowny czarodziej!”

Gandalf spadł na orków, przyszła na nich kreska
I tak się skończyła orkowa imprezka.

Spłynęły na jeźdźców zaszczyty i gloria,
Ogarnęła wszystkich ogólna euforia.

Już Gimli nadbiega i krzyczy, a żywo:
„Zwycięstwo! A teraz idziemy na piwo!

Niech idzie świętować, kto dobry kolega!”
A tu do Gandalfa Aragorn podbiega.

„I znów się spóźniłeś! Przebrałeś już miarę!
Za morze odpłyniesz już wkrótce za karę!”

Lud dzielny Rohanu z radości wariuje,
A Gimli elfowi z chęcią proponuje:

„A co byś powiedział, Legolas, kolego,
Byśmy szli do karczmy, wstąpić na jednego?”

Bawiła do rana się kompania dzielna,
Bo takie zwycięstwo to rzecz niecodzienna.

POGROMCA MAURÓW

SCENA 1

Scena przedstawia pole bitwy, ułane trupami chrześcijańskich rycerzy. Z lewej strony wchodzi DIEGO. Przez chwilę stoi w milczeniu, przyglądając się poboju.

UMIERAJĄCY RYCERZ *leży na ziemi przebity muzułmańskim mieczem, mówi z wyraźnym trudem*

Przebóg! Czy ja jeszcze żyję?
Niechże więc mnie ktoś dobije!
Czy kto będzie tak łaskawy?

DIEGO

Ależ jasne, nie ma sprawy!

podchodzi doń i dobija, po czym rozgląda się wokół z pewnego rodzaju zdziwieniem

Cóż to? Wszędzie leżą ciała?
Bitwa krwawą być musiała.
Szkoda, że jej nie widziałem.

z wyraźnym żalem

A tak wziąć w niej udział chciałem!

zwraca się do poległych

Wiem, że was zawiodłem srodze,
Ale koń mi padł po drodze,
Tak więc pieszo iść musiałem
Aż się całkiem zasapałem
I, choć ile tchu pędziłem,
To na bitwę się spóźniłem.

Z prawej strony sceny pojawia się MAUR.

MAUR *zaskoczony i zirytowany widokiem Diega*

Ejże! Cóż to jest, do licha?!
Jakiś giaur tu jeszcze dycha?!
Czy to jakiś żart straszliwy?

z pretensją do Diega

Jakim prawem jesteś żywy?!

powściągnąjąc emocje

Cóż, właściwie to nieważne,
Bo i tak cię zaraz zarżnę.
Skrzyknę tylko całą armię
I, zaręczam, skończysz marnie.

woła donośnie

Hej, chłopaki, jest robota!
Chrześcijańska ta hołota
Na zbyt wiele się odważa.
Cały islam wszak znieważa
Giaur ten, co ma taki tupet,
By nie leżeć jeszcze trupem!
Musi tęgie dostać baty.
Hej, wyślijmy go w zaświaty!

Na scenę wpada tysiąc opętanych bitewnym szalem Maurów.

DIEGO

Oto chwila wielkiej próby.
Spraw się dobrze, mieczu luby.

Wtem na scenę wjeżdża na wspaniałym rumaku nie kto inny, jak młody KRÓL AHMED, jeden z pomniejszych muzułmańskich władców.

AHMED

Stać, rycerze! Schować szable!

MAUROWIE *jak jeden mąż*

To król Ahmed!

JEDEN Z MAURÓW *półgłosem do Diega*

On dowodzi.

AHMED

Myśl mnie taka naszła nagle:
Zabić giaura się nie godzi.
Stanął jeden przeciw wielu!
Ja odwagę taką cenię!

zeskakuje z konia i wyciąga dłoń ku rycerzowi

Jak się zowiesz, przyjacielu?

DIEGO *wyraźnie zbity z tropu, niepewnie ściska dłoń*

Jestem Diego.

na stronie

To szaleniec!

AHMED *do pozostałych Maurów*

Toż to męstwo niesłychane
By się z całą armią mierzyć!
Taki z tego giaura szpaner,
Że aż trudno w to uwierzyć!
Kto jest takim bohaterem,
Musi być mi przyjacielem!

do Diega

Spójrz, pod moimi rozkazami
Są rycerze dzielni, młodzi,
Ale, mówiąc między nami,
Ty największy budzisz podziw,
Że aż naszła mnie ochota,
Żeby wręczyć ci wór złota.

ładuje wór w ręce Diega, a ten, wciąż skonsternowany, ugina się pod jego ciężarem i odkłada go na ziemię

Nie masz konia?

DIEGO *niepewnie*

Padł po drodze.

AHMED

Bierz mojego.

Diego się wzbrania

Trzymaj wodze!

po chwili namysłu

A że tak cię bardzo lubię,
Pomyślmy o twym ślubie.

klaszcze w ręce; na ten sygnał na scenę wchodzi cztery mauretańskie królowny

Patrz, nadobne te dziewoje
To rodzone siostry moje.
Mogą być?

Diego kiwa głową bez większego przekonania

To załatwione!
Wybierz jedną z nich na żonę!

Diego zamiera w bezruchu, wyraźnie zaszokowany

Co ja mówię? Gdzież ogląda?!
Toż to przecież nie wypada!

Diego oddycha z ulgą

Rycerz tak nieustraszony
Może mieć wszak cztery żony.

Diego znów zamiera, zaś Ahmed po kolei przedstawia mu siostry

Iman sprawnie robi pranie,
Aisza kocha gotowanie,
U Zubejdy tęga głowa
– Nie wymówisz nawet słowa
A już twoją myśl odgadnie –
Fatma zaś...

chwila głębokiego namysłu

wygląda ładnie.

z większą pewnością

Spójrz, czyż nie przyciąga wzroku?
Ta najwięcej ma uroku!

półgłosem, poufale

W domu trzymaj tamte wszystkie,
A tą chwal się w towarzystwie.

głośniej

Bądź mi druhem i kompanem,
Bośmy obaj mężni, młodzi...

Na scenę wpada zadyszany POSŁANIEC.

POSŁANIEC

Panie! Mamy przerąbane!
Nowa armia tu nadchodzi!
Nieliczone zbrojnych mrowie!
To dla gjaurów są posiłki!
Cóż, mój królu, na to powiesz?

AHMED *po namyśle*

Na nic nasze tu wysiłki.
Cóż, Allaha taka wola,
Że nie utrzymamy pola,
Więc wycofać nam się trzeba.

do Diega

A nas, zacny przyjacielu,
Jeszcze zetkną kiedyś nieba
Pośród życia szlaków wielu.

*Wskakuje na podstawionego wierzchowca i wyjeżdża galopem za kulisy; za nim podąża miarowym krokiem reszta armii; Diego stoi jak kolek, najwyraźniej wciąż nie mogąc uwierzyć w ten niespodziewany obrót wydarzeń.
Wtem na scenę wpada CHRZEŚCIJAŃSKI RYCERZ.*

RYCERZ I *zapalczywie*

Ha, opryszki! Ha, poganie!
Teraz to się wam dostanie!

rozgląda się wokół ze zdziwieniem

Ej, gdzież oni? Być tu mieli!
Czy o bitwie zapomnieli?

pojawiają się inni rycerze, w tym RYCERZ 2

RYCERZ II

Co się stało?

RYCERZ I

Tak się głowię,
Gdzie podziali się wrogowie.

RYCERZ II

Cóż, mój druhu, bądźmy szczerzy,
Wielu zbrojnych tutaj leży,
Lecz nie widzę śladu wroga.

RYCERZ I

Hej, ten stoi wciąż na nogach!

Rycerze podbiegają do Diega podekscytowani jak małe dzieciaki.

RYCERZ I do Diega

Niebywałe! Wprost nie wierzę!
Przyjacielu, powiedz szczerze,
Czy to jakiś cud prawdziwy,
Że ty nadal jesteś żywy?

RYCERZ II oglądając Diega z każdej strony

Rycerz z ciebie niezrównany
– Nie odniosłeś żadnej rany!
Widać, że cię źli poganie
Nawet tknąć nie byli w stanie!

RYCERZ I

Dałeś radę armii całej?!

RYCERZ II

Wstrząsające!

RYCERZ I

Niebywałe!

RYCERZ II

Pogoniłeś Maurom kota!
Zmyślna była to robota.
Skąd się bierze takie męstwo?

DIEGO zbity z pantafyku, niepewnie

Cóż... Wierzyłem w swe zwycięstwo.

rozgląda się po twarzach otaczających go kołem ludzi, po czym mówi już z większą pewnością

Tak, kochani, to nie złuda

– Wiara może czynić cuda.

RYCERZ I

Tak wspaniale się sprawiłeś,
Że wyściskam cię z ochotą!

obejmuje go serdecznie, po czym mówi z podziwem

No i łupy też zdobyłeś!

RYCERZ II *chwytając za uzdę wierzchowca*

Czysty arab!

RYCERZ I *podnosząc z ziemi wór*

Czyste złoto!

OKRZYK ZZA KULIS

Książę Carlos tutaj zmierza!
Ujrzeć tego chce rycerza!

RYCERZ I *półgłosem do Diega*

To dowódca wielkiej sławy,
Co nas wiódł na bój ten krwawy.

Na pięknym rumaku wjeżdża książę CARLOS i spogląda na Diega wyraźnie nieprzychylnym okiem.

CARLOS *nie dowierzając*

Ponoć bitwa już skończona?
Cóż się stało? Czyżby wrog
Nasze wszystkie ktoś pokonał?

RYCERZ I *kładąc dłoń na ramieniu Diega*

Ten to sprawił wojak srogi!

CARLOS *na stronie*

Hm... Wygląda dość zwyczajnie.

głośno

Tyś rozgromił całą armię?

DIEGO *niepewnie*

No... Tak mówią.

CARLOS *niemrawo, z kwaśną miną*

To wspaniale.

RYCERZ II

W wielkiej będzie kroczył chwale!

RYCERZ I *skwapliwie*

Znamienity to jest rycerz,
Godny miana bohatera!

DIEGO *skromnie*

No cóż, skoro tak mówicie,
To nie będę się wypierał.

RYCERZ II

Hej, powiedźmy go na zamek!
Tam nagrodę swą dostanie!

Tłum zbrojnych chwyta Diega na ręce i niesie wśród wiwatów. Znikają za kulisami, pozostawiając Carlosa samego na scenie.

CARLOS *ponuro i z irytacją*

Chciałem sobie zdobyć sławę
W krwawym boju, mówiąc szczerze,
Ale życie niełaskawe
– Całą chwałę mi odbierze
Ten, co bitwy los ocalił.

gniewnie

Diabli chyba go nadali!

SCENA 2

Scena przedstawia salę tronową. Na środku TREFNIŚ cały czas jedną ręką podrzuca i łapie niedużą pomarańczę. KRÓL RODRIGO przygląda się temu wątpliwemu popisowi z wyraźnym zażenowaniem.

RODRIGO *mruczy pod nosem*

Tam do kata, jestem królem!
Czemu znoszę tę torturę?

TREFNIŚ *wyraźnie zadowolony z siebie*

Ludzie, patrzcie! Ja żongluję!

RODRIGO *z jękiem rozpacz*

Niech ktoś wreszcie się zlituje
I zakończy moją mękę!

GWARDZISTA *skwapliwie*

Utnę cwaniakowi rękę!

*Chwyta Trefnisia i odciąga go, mimo jego donośnych protestów, poza scenę.
Jeden z dworzan podnosi z ziemi upuszczoną przez Trefnisia pomarańczę, po czym usłużnie
podaje ją Królowi. Ten, po chwili namysłu, zaczyna ją obierać.
Wtem do komnaty wpada POSŁANIEC I (nie mylić z POSŁAŃCEM II, który pojawi się
później).*

POSŁANIEC I *wyraźnie podekscytowany*

Panie, niosę wieści z pola!
Wszyscy zbrojni już zabici!

RODRIGO *radośnie*

Ach, wiadomość to wesoła!
Wynagrodzę cię sówicie!

*sięga ręką do leżącego obok worka, po czym rzuca na podłogę przed Posłańcem pełną garść
złotych monet*

A gdzież moi są rycerze?
Chcę im powinszować szczerze.

POSŁANIEC I *skonsternowany*

No więc... właśnie... wszyscy padli
Pod ciosami wrogich szabli.

RODRIGO *zmarkotniawszy*

To niedobra wieść, jak sędzę.

pólgłosem do jednego z gwardzistów

Pozbierajcie te pieniądze.

gwardziści zbierają monety sprzed nosa zawiedzionego Posłańca, a wtenczas Rodrigo poddaje się srogiej i ponurej zadumie

Cios to dla królestwa ciężki,
Nie podniesie się z tej klęski.

Wchodzi KRÓLEWNA IZABELA

IZABELA *z rozpaczą w głosie*

Ojcze! Problem mam niemały!
Wstążki mi się poplątały!

pokazuje bezładny kłębek wstążek

RODRIGO *z ciężkim westchnieniem*

Izabelo, moja córko,
Biegnij prędko na podwórko
I sprawdź no, czy cię tam nie ma.

IZABELA

Byłam przed chwilami dwiema.

RODRIGO

W głowie tylko ci zabawy,
A dziś bój się toczył krwawy
I zginęło wielu ludzi.

IZABELA

Mnie ta cała wojna nudzi.

ziewa na potwierdzenie swych słów

RODRIGO *zwraca się do doradców*

Trudna sprawa, moi mili.
Wszystkich zbrojnych nam zabili.

DORADCA I

Oddział, który bramy strzeże,
To też mężni są rycerze.

DORADCA II

Tak, wyślijmy w bój ten oddział!
To jedyna szansa, panie!

IZABELA *z żalem i pretensją*

Hej, a gdzie się trefniś podział?!
Kocham jego żonglowanie!

Do komnaty wpada POSŁANIEC II

POSŁANIEC II

Królu, przybyły posiłki
Od księstw paru okolicznych.
Tęgie chłopcy, wprost osiłki!
Chociaż wrogów mamy licznych,
Ci poradzą im z łatwością.

Wchodzi księżę CARLOS

CARLOS *klaniając się Królowi i Królownie*

Pokłon Ich Królewskim Mościom!

RODRIGO

Coś za jeden?

POSŁANIEC II

Nie wspomniałem,
Że dowódcę ich poznałem?

RODRIGO

Tych posiłków?

POSŁANIEC II

W samej rzeczy.

wskazując CARLOSA

On nasz cały kraj uleczy
Z muzułmańskiej tej zarazy.

CARLOS *nieśmiało podnosi rękę*

Jeśli można... bez obrazy...

niechętnie

Trochę to jest głupia sprawa,
Co nie daje mi spokoju...

półgłosem

Cierpi na tym nasza sława.

głośno

Przyszliliśmy na pole boju,
A tu... nie ma przeciwników,
Choć ich miało być bez liku.
Wokół tylko leżą trupy,
A pośrodku jeden człowiek
Dzierży przebogate łupy...
Zresztą niech on sam opowie.

na jego znak dwóch rycerzy wprowadza Diega; Rodrigo, Izabela i obaj Doradcy są wyraźnie zaskoczeni widokiem tego niepozornego człowieka

RODRIGO *po chwili, opanowując pierwsze zdziwienie*

Kto ty jesteś?

DIEGO *z niewymuszoną prostotą*

Diego, panie.

RODRIGO *z nieklamany podziwem*

Ty sprawiłeś wrogom lanie?

z ekscytacją

Opowiadaj! Co zrobiłeś,
Że ty jeden bój przeżyłeś?

DIEGO *nonszalancko odgarniając włosy*

Ach, to była rzeź prawdziwa

tonem znawcy

– Tak na wojnach często bywa,

niedbale

Lecz ja nie wiem, co to trwoga.
Miecz mój opił się krwi wroga.
Patrzę, a tu chyba z tysiąc
Wrogów, każdy z szablą w ręce,
Bieży ku mnie, mogę przysiąc!

DORADCA I

O żeż w mordę!

DORADCA II

Ja cię kręcę!

RODRIGO *wstrzymując oddech z napięcia*

Cóż zrobiłeś, dzielny Diego,
Gdy ten wraży tłum nadbiegał?

DIEGO

Rad zapewne będziesz temu,
Że plugawą ową hordę
Rozgromiłem bez problemu.

DORADCA II

Ja cię kręcę!

DORADCA I

O żeż w mordę!

DIEGO

Wcale trudne to nie było.
Fakt, walczyli niczym wściekli,
Ale każdy dostał w ryło
I w popłochu stąd uciekli.

RODRIGO *przyklaskując z zapalem*

Ha! Dostała ta hołota!
Za to dam ci worek złota!

rzuca worek do stóp Diega, po czym zwraca się uroczyście do wszystkich zebranych

Kraj nasz zyskał bohatera
O odwadze niezrównanej

I ród cały Maurów teraz
W mig zostanie pokonany!

do Diega

Tyś odważny oraz śmiały,
Że wrogowie aż się boją.
Zaszczyt spotka cię niemały:
Poprowadzisz armię moją!

Diego staje jak wryty, zupełnie zaskoczony

Wroga z naszych ziem wypenisz
I z mą córką się ożenisz!

Królewna od niechcenia macha ręką

DIEGO *na stronie*

Święci Pańscy, niechże skonam!
To już piąta dla mnie żona!

RODRIGO

Tyś bohater, co się zowie!
Wypijemy za tve zdrowie!
Chodźmy wszyscy więc do sali,
Gdzie będziemy ucztowali!

Wychodzą wszyscy prócz Carlosa – ten zostaje sam i mruczy pod nosem rozeźlony

CARLOS

Czuję, że mi coś dolega
– To zraniona duma boli.
Wszystko to przez tego Diega!
Czy ktoś na to mu pozwolił,
By królestwo uratował
I mi szyki pokrzyżował?
To ja miałem być tym śmiałkiem,
Co z Maurami wygra walkę,
A król dać mi miał w podziękę
Swojej pięknej córki rękę
I królestwa pół w pakiecie
– Tak być właśnie miało przecież!
Czekaj, Diego! Wierz w me słowa,
Będziesz tego wnet żałował.

SCENA 3

Krótką, zupełnie niepotrzebną sceną biesiadną. Diego zajada, usadzony pomiędzy dwoma wielmożami.

WIELMOŻA I

Jak ci to smakuje, Diego?

DIEGO

Dziś nie jadłem nic lepszego.

WIELMOŻA II

Co o dziku sądzisz?

DIEGO

Szczerze?
To pocziwe, miłe zwierzę.

WIELMOŻA I

Może i się dadzą lubić,
Lecz niektóre trzeba ubić.

wskazując na dziką, który leży na wielkim półmisku, z jabłkiem w ryju

Grasował w tych okolicach.

DIEGO *tonem znawcy*

Wiem, poznaję po racicach.
Widzę także, że przechera
Wcinał jabłko, gdy umierał.

RODRIGO

Słuchaj, Diego, rzecz jest prosta
– Musisz Maurów w ręce dostać.
Spuść im łomot, co się zowie,
Niech się boją nas wrogowie.

DIEGO *z pewnością w głosie*

Łatwo to uczynić mogę.

RODRIGO *przyklasnąwszy*

Po biesiadzie ruszysz w drogę.

Diegowi rzednie mina.

SCENA 4

Przed zamkiem. Diego rusza na wojnę i żegna się z Izabelą.

IZABELA

Jakże smutne pożegnanie!
Już opuszczasz mnie, mój Diego.
Choć ci muzułmańscy dranie
Wkrótce zginą, cóż mi z tego?
I tak tęsknić będę szczerze.

DIEGO protestuje

Przecież my się ledwie znamy!

IZABELA

Zawsze mówią tak rycerze,
Nie chcąc smucić swojej damy.

DIEGO

Ach, królewno, czemu szlochasz?

IZABELA

Powiedz, czy mnie bardzo kochasz?

DIEGO

Jesteś całkiem w moim typie.

na stronie

Nadal smutna jak na stypie.

IZABELA

Co ci we mnie się podoba?

DIEGO

Jesteś ładna oraz młoda.

po namyśle

Chociaż Fatma jest ładniejsza,
To ci w niczym nie umniejsza.

IZABELA

Cóż za Fatma? To dziewczyna?

DIEGO

Eee, nie warto jej wspominać.
Z wszystkich dziewcząt na tym świecie
– Znam się trochę na tym przecież –
Ty najwięcej masz uroku.

na stronie

Może teraz da mi spokój.

CARLOS

Mości Diego, ruszać pora!
Nie możemy do wieczora
Tutaj stać jak jakieś kołki!

DIEGO *do Izabeli*

A więc nadszedł czas rozłąki.
Nic się nie martw, moja droga.
Dam ci w darze głowę wroga.

SCENA 5

Diego, Carlos i inni pomniejsi dowódcy znajdują się w namiocie na naradzie wojennej i ustalają strategię działania. Na stole pośrodku namiotu rozłożone są plany.

POMNIEJSZY DOWÓDCA, *pokazując palcem na planie*

Sprawa tak wygląda, panie,
Że my tutaj, na polanie,
A za wzgórzem wojsko wroga.

DIEGO

Trzeba rozbić ich, na Boga!

po namyśle

Jednak problem z tym nie łąda,
Bo choć serce podpowiada,
By się rzucić na tych drani,
Może zdać nam się to na nic.
Co radzicie mi, panowie?

przeciągająca się cisza

Cóż to? Czy nikt nic nie powie?

CARLOS

Jako rycerz wielkiej miary,
Mężny, prawy, doświadczony,
Co w obronie naszej wiary
Wszystkie zjeździł świata strony,
Chętnie ci udzielę rady,
Abyś dobył swojej szpady,
Wziął ze sobą paru ludzi,
Poprowadził ich na wroga
I w nim wielki popłoch wzbudził.
Maurów przecież bierze trwoga
Na twój widok.

DIEGO *protestuje*

Lecz ich tylu...

CARLOS

Więc ich załatw w swoim stylu.

DIEGO

A wy ze mną nie pójdziecie?

RYCERZ I

Nie ma mowy!

RYCERZ II

Za nic w świecie!

DIEGO

Uzom swoim ledwo wierzę!
Niby mężni z was rycerze,
Lecz do walki coś nieskorzy.

CARLOS

My przy tobie amatorzy.
Tylko byśmy przeszkadzali.
Wśród tej wściekłych wrogów fali,
Którzy walczą jak w amoku,
Nie ma sensu robić tłoku,
Gdy wystarczy jeden człowiek.
Každy ci to, Diego, powie.

DIEGO

Mieliście mnie wspierać w walce!
I co, nie kiwniecie palcem?

CARLOS

Ależ skądże, czekaj chwilę!
Nie będziemy się obijać.

DIEGO z ulgą

Uf, a już się przestraszyłem.

CARLOS

Gdy ty będziesz ich zabijać,
My ubezpieczymy tyły,
Więc się nie trwóż, druhu miły.

DIEGO niepewnie

Czy tak się prowadzi wojny?

CARLOS klepiąc go poufale w ramię

O to możesz być spokojny.
Wierz mi, ja mam doświadczenie
– To na wojnie zawsze w cenie
– I wiem z tego doświadczenia,
Że to jedno się nie zmienia
I nic nie pomaga bardziej
W walce niż druhowie zvarci,
Pilnujący, by od tyłu
Cię nie zaszedł nieprzyjaciel
– Takie wsparcie wielką siłą...
No i tyle w tym temacie.
Plan to dobry i dlatego
Ruszaj w drogę, mężny Diego.

SCENA 6

Obóz Maurów. Z boku sceny jest wzgórze, na które z trudem gramoli się Diego.

DIEGO *łękliwie*

Noc wokół ciemna, sroga.
Idę do obozu wroga.
Fakt ten, jeśli mam być szczery,
Coś nie wróży mi kariery.
Jestem jeden, ich tysiące
– Niezbyt to zachęcające.
Rzecz to przecież jest wiadoma:
To nie będzie długie starcie.
Jeden wszystkich nie pokona.
Pewnie zginę już na starcie.

staje na szczycie wzgórza i ogarnia wzrokiem opustoszały obóz

No i jestem, niech to lichy!
Tylko czemu tak tu cicho?
Niech mi ktoś łaskawie powie:
Gdzie podziali się Maurowie?

rozgląda się

Żadnych tu nie widać ludzi,
A to mój niepokój budzi.
Nie tak to wyglądać miało.
Całą armię gdzieś wywiało.
W takim razie wracać muszę
I przysięgnę na mą duszę,
Że choć bardzo się starałem,
To nikogo nie zastałem.
Cóż innego zrobić mogę?
Nie będę tu tkwić do rana.
Czas w powrotną ruszać drogę.

za jego plecami pojawia się nagle Muzułmański Gwardzista i przystawia mu włócznię do pleców

WARDZISTA

Psie niewierny, na kolana!

DIEGO *obraca się powoli i uśmiecha niepewnie*

Nie słyszałem cię, kolego.

z uznaniem

Stąpasz cicho jak pantera.

uchyla helmu

Miło poznać, jestem Diego.
Chyba będę się już zbierał.

GWARDZISTA *gniewnie*

Nigdzie cię nie puszczę, łotrze!
Niechże to do ciebie dotrze!

DIEGO

Nie chcę robić ci kłopotu...

GWARDZISTA *chwytając go i prowadzi ze sobą*

Idziesz ze mną do namiotu.
Tam nasz król na śmierć cię skaze.

DIEGO *z sarkazmem*

Świetnie, o tym właśnie marzę.

SCENA 7

Namiot Króla Ahmeda. Ahmed i jego zastępcy uczują, bawią się i ogólnie miło spędzają czas. Poły namiotu rozchylają się i wchodzi Gwardzista, wlokąc ze sobą szamoczącego się Diega.

GWARDZISTA

Panie! Zawiadamiam oto,
Że zdybałem gjaurów szpiega!

AHMED *zimno*

Abdul...

GWARDZISTA

Słucham.

AHMED

Ty idioto.

Czyżbyś nie poznawał Diega?

długa chwila ciszy

Cóż to, postradałeś mowę?
Każę skrócić cię o głowę,
Jeśli go nie puścisz zaraz.

Gwardzista puszcza Diega

Wybacz, Diego, ten ambaras.
Zwykłe nieporozumienie!
Wiesz, jak lubię cię i cenię.
Sam twój widok mnie rozczula.
Nie miej żalu do Abdula.
Trochę jest nietęgi w głowie.
Tyś jest zacny, prawy człowiek
I serdeczny mój kolega.
Jak cię można wziąć za szpiega?!
Ja bez żadnej tu rozkminy
Wiem, że wpadłeś w odwiedziny
– To z pewnością słuszna teza.
A że właśnie jest impreza,
Dołącz do nas! Noc wciąż młoda!

podając mu puchar

Wypij do dna!

DIEGO *pije i krztusi się*

Toż to woda!
Nic nie macie mocniejszego?

AHMED

Ani kropli, dzielny Diego.

ZASTĘPCA I

No niestety, nie ma chlania,
Skoro Prorok go zabrania.

AHMED *dolewa Diegowi wody*

Golnij sobie jeszcze śmiało!
Jeden puchar to za mało.

Diego pije

Jeszcze jeden?

Diego kiwa głową potakująco, Ahmed się śmieje

Witaj w klubie!
My już mamy mocno w czubie!
A jeżeli masz obawy,
By nie było jakiej szkody,
Wtedy proszę, nie ma sprawy
– Do swej wody dolej wody.

dolewa

Gdy tak będzie rozcieńczona,
Nic się złego nie dokona.

*Przez dłuższą chwilę siedzą i popijają pospół, aż w końcu Diega, jak to po tegim picciu,
nachodzi na filozoficzne refleksje*

DIEGO

Czasem, gdy tak sobie siedzę,
Myśl przychodzi niespokojna
– Powiedz, zacny mój Ahmedzie,
Po co nam ta cała wojna?
Czemu muzułmańskie plemię
Najechało nasze ziemie?
Teraz się musimy trudzić,
By Hiszpanii je przywrócić.
Czemu wyście nas podbili?
Czyśmy złego co zrobili?
Mówiąc krótko w tym temacie:
Co wy do chrześcijan macie?

AHMED z namysłem

Toż to ludzie innej wiary
– Ma to obyć się bez kary?

ZASTĘPCA I z uznaniem

Trzeba roznieść ich na szablach,
By się uradował Allach.

ZASTĘPCA II celując w Diega palcem oskarżycielsko

Zakonotuj to w pamięci:
Nie jesteście tacy święci.
Wszak palicie heretyków!

DIEGO *dotknięty*

Tylko proszę bez przytyków!

odcina się

Wy kamienujecie ludzi!

AHMED *usprawiedliwiająco*

Tylko, kiedy nam się nudzi.

ZASTĘPCA I *kiwa głową z rozmarzeniem*

To rozrywka nie z tej ziemi,
Cisnąć w kogoś garść kamieni.

ZASTĘPCA II

Bez gadania, bić się trzeba
– Takie są wyroki nieba.

ZASTĘPCA I

Wojna to rzecz znakomita.

ZASTĘPCA II

Trzeba bić się, bić i kwita!

DIEGO

W takim razie, drogi panie,
Jedno rodzi się pytanie:
Co tak pusto w tym obozie?
Armia nie jest dziś na chodzie?

ZASTĘPCA II

Armia jest w najlepszym stanie,
Lecz gdzie indziej ma zadanie.

AHMED *pokazując palcem*

Tam za wzgórzem, gdzie wskazuję,
Oddział giaurów się znajduje.

ZASTĘPCA I

Przyczaili się, cwaniacy.

ZASTĘPCA II

Mamy ich tu jak na tacy.
Żaden jutra nie doczeka.

ZASTĘPCA I

Będzie z tego niezła beka.

AHMED

Wszystkich dzielnych mych rycerzy
Wyprawiłem jak należy,
By od tyłu się zakradli
I jak burza na nich spadli.

ZASTĘPCA I

Będzie bitwa jak z obrazka.
Żaden się nie wykaraska.

ZASTĘPCA II

Żaden giaur nie ujdzie żywy.
Pogrom będzie to prawdziwy.

DIEGO *zrywa się z miejsca*

Wiecie... Było bardzo miło,
Ale późno się zrobiło,
A ja muszę wstać o świcie.

z przepraszającym uśmiechem

Co poradzić, takie życie.
Więc już pójdę.

AHMED

Ależ Diego!
Nie wypijesz strzemiennego?

DIEGO

Jam nie konny, ale pieszy.

AHMED

Wypij jeszcze, co ci szkodzi?

Ależ mnie obławowali!
Obym się z tym nie wywalił.
Gdy wokoło nocy mroki
Łatwo potknąć się o...

przewraca się, po czym rozgląda, by zobaczyć, o co to się potknął

zwłoki.

wokół niego całe pole trupów

Bardzo dobrze się złożyło,
Że w obozie mnie nie było,
Więc zostałem ocalony.

po namyśle, truchlejąc

Chociaż, patrząc z drugiej strony,
Potwierdziły się me lęki
– Moi ludzie pokonani.
Król mnie każe wziąć na męki!

stanowczo

Życie jednak jest do bani.

SCENA 9

Zamek Króla Rodriga, sala tronowa. Diego staje przed obliczem Rodriga i Izabeli.

RODRIGO *dźwiga się z tronu, radośnie*

Żyjesz, Diego!

DIEGO *zbity z tropu*

Ano żyję.

RODRIGO *skinąwszy na Izabelę*

Córko, rzuć mu się na szyję.

Izabela przypada do Diega, by go uściskać

A to nam się Carlos zdziwi!
Mówił, że wszyscy nieżywi.
Wręcz przysięgał na swą duszę,
Że on jeden z życiem uszedł.

Już go wołam! Hej, Carlosie!

CARLOS *wkracza do komnaty*

Jestem, panie!

staje jak wryty na widok Diego, na stronie

O, zły losie!

RODRIGO

Wielką radość chcę ci sprawić.
Spójrz, to Diego, cały, zdrowy.
Nie pozwolił się on zabić.

IZABELA

Mój bohater!

RODRIGO

Chłop morowy!

CARLOS

Może uciekł z pola walki?

RODRIGO *obruszony*

Głodne prawisz tu kawałki!
Ma chorągiew wroga w dłoni
– Znak, że Maurów chwyt rozgromił.

do Diega

Sam ich wszystkich pokonałeś?

IZABELA *z ekscytacją*

Obiłeś każdemu ryło?

RODRIGO

Głowy im poodcinałeś?

IZABELA

Czy tak było?

DIEGO

No, tak było.

RODRIGO *z zadowoleniem*

Krążą plotki między ludem,
Że się Diega zabić nie da.
Ujdzie z życiem choćby cudem.

CARLOS *na stronie*

Ot i nowa dla mnie bieda.

RODRIGO

Niech się każdy o tym dowie.
Nie zabiją go wrogowie,
On zaś wszystkich ich pokona
– Klęska Maurów przesądzona!

Do sali wpada POSŁANIEC

POSŁANIEC

Panie! Bardzo złe nowiny!
Nadciąga tu nieprzyjacieli!
Poprzez góry i doliny
Idzie na nas!

CARLOS

No i macie.

POSŁANIEC

Muzułmańskie wojska kroczą,
Naszą krwią te ziemie broczą.
Wkrótce dotrą pod twe mury!

RODRIGO *gładząc brodę*

Dranie wałą z grubej rury.
Kto dowodzi?

POSŁANIEC

Nie sprawdzałem.
Ledwie z głową ująć zdołałem.
Jakiś sułtan albo kalif,

Czy tam wezyr, zresztą mniejsza
– Grunt, że armia na nas wali!
To jest kwestia najważniejsza!

RODRIGO *smutno*

A więc rzecz jest przesądzona
– Spadnie z głowy mi korona.
Maur ją włoży na swe skronie
I zasiądzie na mym tronie,
Nad królestwem przejmie władzę
– Nic już na to nie poradzę.

IZABELA

Ależ ojcze, o co biega?
Zapomniałeś, że masz Diega?
On obroni nasze mury.

RODRIGO *klaszcze w dłoń*

Słuszne słowa mojej córy.
Diego, ty obronisz zamek.
Ty odeprzesz tę nawałę.
Ty pokonasz wojsko całe.

DIEGO *na stronie*

Mam konkretnie przerąbane.
Skoro nie ma tam Ahmeda,
Wykaraskać się już nie da.

RODRIGO

Idź do boju, chłopcze drogi,
Wyrznij drani co do nogi.

DIEGO

Zrobię jak rozkażesz, panie.

na stronie

Nic już ze mnie nie zostanie.
Nie, nie wyrwę się z tej matni.
Bój to będzie mój ostatni.

SCENA 10

Na zewnątrz. Muzułmańska armia ciągnie przed siebie, na jej czele SUŁTAN, przy nim kroczy jego SŁUGUS. W oddali widać zamek Rodriga.

SŁUGUS

Ach, sultanie, mój sultanie!
Wkrótce w twe szlachetne ręce
Zamek wroga się dostanie.

SUŁTAN *ucisza go ruchem ręki*

Nic nie musisz mówić więcej.
Żadnych giaurów się nie boję.
To królestwo będzie moje,
Tak jak pięć poprzednich.

SŁUGUS

Panie!
Tyś odwagi wzór i męstwa!

SUŁTAN

Nudzi mnie to wygrywanie.
Wciąż sukcesy i zwycięstwa.

SŁUGUS

Panie, otwierają wrota!

SUŁTAN

Chrześcijańska ta hołota
Wie już, że nie wygra z nami,
A w dodatku są tchórzami.
Chcą się poddać, nędzne szuje,
Lecz ich to nie uratuje.
I tak wszyscy muszą zginąć,
Los ten ich nie może minąć.

SŁUGUS

Zobacz, panie, ktoś przez bramę
Tu wychodzi.

SUŁTAN *mrużąc oczy*

Co jest grane?

Czy mnie mylą moje oczy?
To nie gjaur tak dumnie kroczy.
Nie, nie kłamią oczy moje
– Mauretańską ma on zbroję.
Spójrz, chorągiew trzyma w dłoniach
I nią machać bardzo skory.
Znam to godło! Nic tu po nas
– To Ahmeda są kolory.
Siłą sprawił to lub sprytem,
Że zamczysko już zdobyte.

SŁUGUS

To się król nam sprawił ślicznie.
Zdobył zamek błyskawicznie.

SULTAN

Ahmed nie jest bity w ciemię
– Dam mu za to jakąś premię.
A tymczasem czas nam w drogę.
Tyleż jeszcze podbić mogę!

SCENA 11

Zamek Rodriga. Diego wraca do sali tronowej.

RODRIGO

Brawo, Diego!

IZABELA

Twoja sława
Lękiem wrogów twych napawa.
Gdy cię tylko zobaczyli,
To się zaraz przestraszyli
I w popłochu stąd uciekli.
Ależ być musieli wściekli!

DIEGO *nonszalancko odgarniając włosy*

Każdy wie, to prawda szczerą,
Że się ze mną nie zadziera.

SCENA 12

Znów sala tronowa, kilka miesięcy później. Rodrigo po swojemu siedzi na tronie, Izabela coś sobie wyszywa w kąciku.

RODRIGO

Po miesiącach długich wojny
Wreszcie mogę być spokojny.
Koniec już zaciętych bojów.
Nadszedł teraz czas pokoju.
Sława Diega, jego męstwo
– Zapewniły nam zwycięstwo.
Jego przykład natchnął ludzi,
Zapał w nich na nowo wzbudził.
Widząc tak dzielnego męża,
Chcieli bić się i zwyciężyć.
Nie podbili nas Maurowie
– Sprawił to ten jeden człowiek,
Nasz wspaniały, mążny Diego.
I dlatego właśnie jego
Wyślę do obozu wroga,
By prowadził rokowania.
Tak uczynię, moja droga!

IZABELA *unosząc wzrok znad robótki*

Nikt ci, ojczy, nie zabrania.

Rodrigo wstaje z tronu i wychodzi, udając się na poszukiwanie Diega. Na scenę wkracza Carlos, który wszystko podслуchiwał.

CARLOS *na stronie*

Znów ten Diego! Wielki Boże!
Czy być może jeszcze gorzej?
Ma prowadzić negocjacje?
Zgarnąć laury i owacje?
Niech mnie diabli! Nie ma mowy!
Zresztą przyszedł mi do głowy
Plan, jak zepsuć tę sielanekę,
Tylko muszę pojmać brankę.

Podkrada się do Izabeli, chwytając ją znienacka i wywleka poza scenę. Po dłuższej chwili wraca, zacierając ręce z zadowoleniem.

No i oto dziewczka płocha
Już zamknięta w moich lochach.
Ach, Carlosie, ty przechero!
Diego to przy tobie zero!

Powiem mu, że to Maurowie
Porwali naszą królowę.
Gdy się tylko o tym dowie,
Wtedy już jak w banku pewne
– Nic nie wyjdzie z negocjacji.
Co, czy może nie mam racji?
Diego stawia im warunki,
Czyli zwrot królewskiej córki,
Lecz Maurowie jej nie mają,
Zatem oddać jej nie mogą.
Z Diegiem się nie dogadają,
Zwadą się to skończy srogą.

Na scenę wkracza Diego, gotowy, by ruszyć na rokowania. Carlos podbiega do niego pośpiesznie.

Słuchaj, Diego, straszne wieści!
W głowie się to wprost nie mieści!
Twa nadobna narzeczona
Jest przez Maurów uwięziona!
Przetrzymują ją, w tym sedno,
W swojej mocy.

DIEGO *na stronie*

Żeby jedną!
Narzeczonych mam tam kilka
– Wcale nie jest to pomyłka –
Ale Carlos skąd wie o tym?

CARLOS

Bierz się, Diego, do roboty!
Żądaj, by ci ją oddali,
Inaczej nie ujdą cali.
Powiedz, że z rozejmu nici,
Jeśli wstrętni ci bandyci
Nie oddadzą narzeczonej
W twoje ręce.

DIEGO

Załatwione!

wychodzi

CARLOS

Jeszcze króla powiadomię,
Że porwana jest królowna.

Marny będzie Diega koniec,
Jego klęska to rzecz pewna.

SCENA 13

Miejsce rokowań. Na emisariusza chrześcijan czeka tu Ahmed we własnej osobie. Rozpogadza się na widok nadchodzącego Diega.

AHMED

Diego, moje gratulacje,
Ty prowadzisz negocjacje?
Mnie Maurowie wyznaczyli,
Bym w imieniu ich to czynił.

DIEGO

Mój Ahmedzie, dość gadania.
Czas rozpocząć rokowania.
Całkiem ściśle mam wytyczne.

AHMED

To doprawdy fantastyczne.

DIEGO

Tak mnie oto pouczono:
Masz mi oddać narzeczoną,
Bo nie zapanuje zgoda.

AHMED

To w ogóle nie przeszkoda.
Być nie musisz taki ostry.
Obiecałem ci swe siostry.
Swego zdania ja nie zmieniam
– Tyle mam do powiedzenia.

SCENA 14

Zamek Rodriga, sala tronowa. Rodrigo i Carlos czekają na powrót Diega. Wreszcie Diego wkracza na scenę.

RODRIGO *niecierpliwie*

I cóż, Diego?

DIEGO

Będę szczery.
Podpisaliśmy papiery
I od teraz pokój mamy.

RODRIGO *ucieszony*

Toś się spisał, mój kochany!

CARLOS *nie dowierzając*

Zaraz! Jak to?! Już po sprawie?!
A co z twoją narzeczoną?

DIEGO

Zaraz wszystko ci wyjawię:
Oddać mi ją przyrzeczono.

CARLOS *wybałuszając w zdumieniu oczy*

Bez problemu?!

DIEGO

Bez problemu.

RODRIGO

Rad niezmiernie jestem temu.

CARLOS

Niemożliwe! Co za bzdury!

RODRIGO *gniewnie*

Carlos! Co za brak kultury!

CARLOS

Mam w to wierzyć?!

DIEGO

Jestem szczery.
Ahmed przyrzekł mi aż cztery.

CARLOS *wściekle*

Panie, toż to jakieś brednie!
Zaraz mina wszystkim zrzednie.

RODRIGO

Nie bądź tego taki pewny.

CARLOS

Nie mógł zwrotu on królewny
Wytargować, bo Maurowie
Jej nie mają, wprost to powiem!

DIEGO

Nie wygaduj bzdur, Carlosie.

CARLOS *wciąż w zapamiętaniu*

Zamilcz wreszcie, ty młokosie!

RODRIGO *do siebie*

To się Carlos rozzuchwalił.

głośno, do Carlosa

Sam mówiłeś, że porwali
Ją Maurowie.

CARLOS *w złości*

Kit wciskałem!
Czy to dla was zrozumiałe?!
Nie wierz w ani jedno słowo
Tego chłystka! Ręczę głową,
Jam królewny porywaczem!
W moich lochach ona siedzi!
Tam w łańcuchach rzewnie płacze,
Tam nad dolą swą się biedzi!
Prawdę daję wam na tacy!
I co teraz, wy cwaniacy?!

dyszy ciężko, wpatrując się w Rodriga i Diega tryumfalnie, dopiero po chwili dociera do niego, że zdradził swe podstępne, złowrogie działania

RODRIGO

Cóż, Carlosie mój kochany,

Każę zakuć cię w kajdany
I uwolnić moją córkę.

Do Carlosa przypada dwóch gwardzistów, zakuwają go i prowadzą ku wyjściu

CARLOS *ponuro*

Całe życie mam pod górkę.

RODRIGO *poufale uderza Diega w plecy*

A gdy skończy się to wszystko,
Urządzimy weselisko
– Diega ślub z królewską córą!

DIEGO *na stronie*

Bardzo fajnie, tylko z którą?

ROBINSON NIEZŁOMNY

Samotna i naprawdę mała wysepka na Morzu Karaibskim – ot, piach, trochę kamieni, a pośrodku jedna palma. W tle bezmiar morza i tonący okręt. Do wyspy dopływa kraulem Robinson. Wychodzi na brzeg i, ciężko dysząc, wpatruje się w statek, dopóki ten nie zniknie całkowicie pod wodą. Rozbitek odwraca się ku widowni i można zobaczyć, że na jego twarzy widnieje uśmiech.

ROBINSON *dziarsko*

Trzeba przyznać, Robinsonie,
Że masz dzisiaj dzień szczęśliwy
– Statek się pogrążył w toni,
A ty nadal jesteś żywy.

fala wyrzuca na brzeg niewielki kociołek, co rozbitek wita z entuzjazmem

O! Kociołek mój podróżny!
Pewnie przyda mi się później.

rozgląda się z zadowoleniem wokół

Wyspa jakaś tu, mój panie,
Z takim wdziękiem ciebie gości...
Biorę więc ją we władanie!
Czas obejrzeć moje włości.

okrąża szybkim krokiem wyspę w jakieś dziesięć sekund

Ha! Obszedłem całą wyspę
I jej zakamarki wszystkie,
Choć nie przeszła nawet doba
– Strasznie mi się to podoba!
Taka mała jest ta wyspa,
Że nie zgubisz się, choćbyś chciał,
I ma za to plusa u mnie!

rozgląda się raz jeszcze

Kameralnie i przytulnie.

z wyraźną satysfakcją

Los mi w hojnym złożył darze
To spełnienie moich marzeń.
Bo choć w sytuacji mojej
Strwożyć mogłoby się wielu,
Ja tej próby się nie boję.

Śmiało zdołam dojść do celu.
A tym celem – udowodnić,
Że my, ludzie – dumne plemię –
Nieugięci i niezłomni,
Słusznie dzierzym w rękę ziemię.
Że okoliczności każde
Da się nagiąć do swych potrzeb
– Jak postarasz się, co ważne,
To ci wszędzie będzie dobrze.
Więc nie ugnę się w tej próbie,
Bo wyzwania takie lubię.

stanowczo

Chociaż dziko tutaj strasznie,
W mig przyrodę tę ujarzmię.
Udowodnię, że jest panem
Człek stworzenia i tytanem!

słychać donośne burczenie

Pierwszy problem na mej drodze,
To że pusty mam żołądek
I że burczy mi w nim srodze.
Trzeba zrobić z tym porządek.
Dla człowieka, który czyni
Swymi włości łądy wszystkie,
Nie jest problem to olbrzymi,
By coś znaleźć na przegryzkę.
Stoi palma tutaj oto
– Cóż za losu to zrządzenie!
Rośnie ona przecież po to,
By zapewnić mi jedzenie.
Fart mój zatem nie przemija
– Cały wszechświat mi dziś sprzyja.

wkłada rękę do kieszeni i wyciąga niewielką książeczkę

Rzecz zupełnie przypadkowa
– Atlas roślin mam w kieszeni!

kartkuje pośpiesznie, po czym przestaje i przerzuca parę razy wzrok z kartki na palmę i z powrotem

Tak, to palma kokosowa!
I obrazek też walnęli.
A pod spodem tekst niedługi,
To instrukcja jest obsługi.

czyta

„Pniem potrząsnąć, żeby jadło
W mig na glebę z drzewa spadło”.

chowa książeczkę, podchodzi do palmy i potrząsa pniem, na co z góry spadają cztery małpy, a uderzywszy w ziemię, leżą bez przytomności

Cóż to znaczy?!

rozbitek spogląda na drzewo podejrzliwie

Czy zepsuta?!

chwila namysłu

Jeszcze jej pocisnę z buta!

zasadza kopniaka w pień, co owocuje tym, że liczba leżących na ziemi poobijanych małp powiększa się o trzy następne

Tak się chyba nie pożywię.

wygraża palmie pięścią

Ach, roślino nieużyta!

znów wkłada rękę do kieszeni, po czym szybko ją wyciąga z nagłą radością

Lecz złożyło się szczęśliwie,
Że mam tu nasiona żyta,
Więc je zaraz wsadzę w glebę,
By się prędko stały chlebem.
Będzie miło i radośnie!
Tylko czekać aż wyrosnie!

Mija rok – żeby widzowie przez ten niekrótki czas nie znudzili się i nie rozeszli do domów, można im puścić jakąś muzyczkę. Robinson siedzi na głazie, podpierając głowę ręką. Żadnego zboża nie widać, ale nieopodal płonie ognisko, a nad nim zawieszony jest kociołek, w którym coś się gotuje. Rozbitek pogrążony w ponurej zadumie, wreszcie się odzywa – również ponuro.

ROBINSON

Trochę to jest dołujące,
Że przez wszystkie te miesiące
Muszę, najzwyczajniej w świecie,
Ciągnąć na tej małpiej diecie.

smutno spogląda na ziemię

A me żyto się nie zjawia.

niechętnie wstaje z miejsca i rusza ku ognisku

Znów na obiad z małpy zupa...

zagląda do kociołka, po czym odskakuje z obrzydzeniem

Chyba zaraz puszczę pawia!
Co tu robi orangutan?!

Wtem do brzegu dobija czólno i wysiada z niego jakiś Indianin, a konkretnie Piętaszek.

PIĘTASZEK *wznosząc dłoń w geście powitania*

Siema! Coś ty taki spięty?
Ja Piętaszek – to me miano,
Bo, rozumiesz, mam dwie pięty,
Stąd mi takie imię dano.

w naglej zadumie skrobie się po głowie

Fakt, że sensu w tym niewiele...

ROBINSON *półgłosem do siebie*

Cóż za przybysz, dziwny taki...
Czy mym będzie przyjacielem,
Czy mi zechce wypruć flaki?

głośno do Indianina

W jakim celu tu przybywasz
Człeku dziwny, dziki, bosy?

PIĘTASZEK

Zaraz będę się stąd zmywać.
Wpadłem tylko po kokosy.
Trzymaj koszyk, twarzy błada,
To się podzielimy plonem.

wręcza mu koszyk, po czym potrząsa pniem palmy – do jego kosza wpada kilka dorodnych kokosów, ale do koszyka Robinsona jedynie trzy dorodne małpy

Zbiór nam udał się nie lada!

Indianin wyciąga listę i coś na niej odhacza

No, kokosy załatwione!

przebiega listę wzrokiem

Jeszcze tylko wyspy cztery
Mnie czekają na mej trasie
– Jajka, mleko, chleb i sery
Na nich znajdę.

chowa listę i macha do Robinsona

Pa, białasie!

rusza ku czołnu, lecz nagle zatrzymuje się

Chociaż... Myśl mnie naszła nagła,
Że wraz ze mną płynąć możesz.
W mig znajdziemy masę jądła
I objemy się niezgorzej.

ROBINSON *oburzony*

Człeku dziki, czyś oszalał?!
Mam opuścić moje włości,
Gdzie mnie szczęśna zniosła fala,
Bym mógł dowieść swej wielkości?
Toż ta wyspa jest wyzwaniem
Dla człowieka, aby swoje
Zaprowadził panowanie,
A ja wyzwań się nie boję!
Los mnie na te brzegi rzucił
Jako przykład dla potomnych,
Że należy świat do ludzi
Nieugiętych i niezłomnych.
Niewdzięcznikiem jest bez miary,
Kto odrzuca losu dary,
Więc na wyspie mej zostanę.

PIETASZEK *do siebie*

Gość ma nieźle narąbane.

Wsiada do łódki i odpływa.

ROBINSON

Chciał mi pomóc, dobre sobie!
Czy kto widział, by pomocy
Potrzebował kiedy człowiek,
Co kraj cały ma w swej mocy?
A ta wyspa mym jest krajem!

Cóż mi po tym, że się najem,
Jeśli miałbym stąd odpłynąć?
Równie dobrze mogę zginąć!
Przecież los mnie tu skierował,
Bym pokazał każdej nacji,
Że człowieka mądra głowa
Z każdej wybrnie sytuacji
I że upór, wiara w siebie,
Siła ducha niezachwiana
Ze mnie w srogiej tej potrzebie
Czynią mego losu pana.

chwila pełnej namysłu ciszy, podczas której rozbitek rozgląda się wokół i mina mu rzednie

To jest tylko niewesołe,
Że tu jestem sam jak kołek.
Cóż, Piętaszka stąd wywiało...
Towarzystwo by się zdało.

znów chwila namysłu

Tak, to problem jest nie lada.
Jak mam spędzić tu lat wiele,
Kiedy nie ma z kim pogadać,
Kogo nazwać przyjacielem?
Najważniejsze – towarzystwo.
Czym bez niego jest to wszystko?
Sprawa jest o tyle trudna,
Że ma wyspa jest bezludna.
Wiem – sprawdzałem cztery razy.
Wokół tylko piach i głązy.

biorąc się w garść, a zatem bardziej dziarsko

Lecz bez trwogi – choć okropnie
Jest przez życie iść samotnie,
Człowiek, co jest panem losu,
Zawsze znajdzie jakiś sposób.
To nie będzie trudna praca,
Nawet na bezludnej wyspie,
Żeby zacząć się obracać
W przyjacielskim towarzystwie.

z palmy sfruwa papuga i przysiada mu na ramieniu

Ot, ma nowa przyjaciółka
Przystrojona w barwne piórka!
Człek, pan świata – brzmi to dumnie –
Ma on w sobie mocy wiele!
Nawet bydlę bezrozumne

Swym uczyni przyjacielem.
Towarzyszko mej niedoli,
Od dziś się nazywasz Polly.
Szybko, powtórz: „Jestem Polly”!

chwila apatycznej ciszy

Nie chcesz szybko? To powoli.

znów cisza

No, powtarzaj: „Jestem Polly”!

cisza, Robinson wzdycha ciężko

Nie, nie umiesz swojej roli.

coraz mniej cierpliwie

Masz powiedzieć: „Jestem Polly”!

z rosnącą irytacją

Ciągle milczeć zwierzak woli.

tracąc resztki opanowania

„Jestem Polly! Polly! Polly!”

PAPUGA

Chyba coś cię, chłopie, boli!
Zachowujesz się jak błazen,
Lecę więc stąd, bo – o rany! –
Jeszcze ktoś nas ujrzy razem
I pomyśli, że się znamy!

Odlatuje.

ROBINSON

To ptaszysko najwyraźniej
Nie jest godne mej przyjaźni.
Pewnie małpy nawet wszystkie
Będą bardziej towarzyskie.

wyciąga z koszyka dwie ogłuszone małpy i potrząsa nimi

Jakoś niezbyt są ruchawe
– Psuje całą to zabawę.

upuszcza małpy na ziemię

Przecież nawet człek niezłomny
Trudno ma się zaprzyjaźnić
Z kimś, kto leży nieprzytomny.

chwila głębokiego namysłu

Wiem! Użyję wyobraźni!

Pół roku później. Robinson siedzi przed talerzem z obiadem, a obok niego przed pustym talerzem stoi kociołek z domalowanymi oczami i uśmiechem

ROBINSON

Małpie udko, mój Wilsonie?

kładzie kawał mięsa na pustym talerzu przed kociołkiem

Czekaj tylko aż ostygnie
– Możesz sparzyć sobie dłonie,
Choć wygląda tak niewinnie.

wdycha głęboko świeże powietrze

Cóż za cisza tu i spokój,
Przyjacielu mój kochany.
Dobrze mieć cię przy swym boku.
O czym dzisiaj pogadamy?
Spójrz na fale, mój Wilsonie!
Jak łagodne i stateczne
Są dziś owe morskie tonie
– Aż człek czuje się bezpiecznie.

wtem duża fala zalewa brzeg i porywa ze sobą kociołek; Robinson zrywa się z ziemi i krzyczy z rozpaczą

Wilson! Druhu mój! Kolego!
Płyn! Rękami machać musisz!

pada na kolana z rozpaczą

Zostawiłeś mnie samego
I na pewno już nie wrócisz!

chwila ponurej ciszy

Jak ponura jest ta cisza,
Gdy nie słyszę jego głosu...

Ach, straciłem towarzysza!
To okrutny wyrok losu!
Ach! Skazany na samotność!
Takie życie to okropność!

Wtem przy pływa wiele czółen, a w nich Indianie oraz Indianki. Z największej łodzi wysiada wódz i przemawia do Robinsona.

WÓDZ

Siema! My tylko na chwilę.

wyciąga ze swej łodzi Wilsona

Jakiś kocioł wyłowilem,
Więc tu wpadłem, by mieć jasność:
Czy to może twoja własność?

ROBINSON *zrywając się na równe nogi*

Wilson! Radość to nielicha!

do wodza, z niepokojem

Powiedz tylko, czy oddycha?

WÓDZ *spoglądając na rozbitka z konsternacją*

Ty... zupełnie sam tu siedzisz?

Robinson przytakuje skinieniem głowy

A rodzina?

rozbitek przecząco kręci głową

A sąsiedzi?

jak wyżej

Więc osądzić mogę po tym,
Że nic nie masz do roboty.
Przyłącz się więc do nas śmiało.
Głów w plemienu wprawdzie trzysta,
Lecz nie może być za mało
Wszak dobrego towarzystwa.
Każdy z nas tu oto właśnie
Na imprezę dzisiaj płynie.

półgłosem

Rzecz tę krótko ci wyjaśnię
– Nasze plemię z balang słynie.

głośno

Będzie ubaw aż do rana
I kompania tak dobrana,
Że raj znajdziesz w tej hulance.
Będą śpiewy, śmiechy, tańce!

ROBINSON

Nie! Nie dla mnie są zabawy!
Los mój taki był łaskawy,
Tak mnie szczerze potraktował,
Że mi wyspę podarował,
Abym mógł rękami swymi
Mym królestwem ją uczynić.

WÓDZ

Ej, człowieku, nie przesadzaj!
Czy tak może być wspaniałą
Nad bezludnym lądem władza?
Lepiej bawić się noc całą,
Lepiej z przyjaciółmi śmiać się,
Niż samotnie się pałętać,
Dołącz zatem do nas, bracie!

INDIANIN I *entuzjastycznie*

Mamy prowiant!

INDIANIN II *entuzjastyczniej*

I dziewczęta!

wyjaśniająco

Tylko z miłą panną w parze
Taniec jest spełnieniem marzeń.

WÓDZ *podchwytyjąc myśl, nadal namawia Robinsona*

Patrz na panny te urocze!
To po prostu niesłychane,
Jak ich piękno cieszy oczy.

INDIANIN II *dalej się emocjonuje*

A jak skapo są odziane!
Żadnych ciuchów prócz przepaski!

WÓDZ

Muszę rzec ci, że w tych stronach
To najlepsze z wszystkich laski
– Ten argument cię przekona.

Z jednego z czółen podnosi się urodziwa Indianka.

INDIANKA *spoglądając na Robinsona*

Chociaż twarz u niego blada

na stronie

– Czy ktoś o czymś takim słyszał? –

głośno

Niech do mojej łódki wsiada,
Bo mi trzeba towarzysza.
Lepiej bawić się we dwoje,
Więc partnerką będę tobie.
Przyjmij zaproszenie moje.

ROBINSON *niepewnie*

Niech się nad tym zastanowię...

WÓDZ

To namysłu nie wymaga.

półgłosem

Gdy cię prosi taka panna
Miła, ładna i półnaga,
To odmawiać – rzecz naganna.

ROBINSON *znieczierpliwiony*

Nie zdajecie sobie sprawy,
Że nie w głowie mi zabawy?!
Nie ulegnę tej pokusie!
Ruszaj w drogę, obdartusie!
Na cóż wasze towarzystwo?
Jestem panem swego losu!

Sam zapewnię sobie wszystko,
Bez pomocy innych osób!
Sam potrafię sobie stworzyć
Przyjaciela wspaniałego!
Wy myślicie – czyście chorzy?! –
Że bym wołał co innego?
Więc wybaczcie, moi goście,
Lecz już wszyscy się wynoście.
Gdy tu dłużej zabawicie,
Na imprezę się spóźnicie.
Oddaj tylko mi Wilsona
I już sprawa załatwiona.

Wyrywa wodzowi kociołek.

WÓDZ *urazony*

Cóż, ruszajmy, moi mili!
Będziem dobrze się bawili,
A ten niech sam siedzi sobie.
Ma wesoło tu jak w grobie.

ROBINSON *również urazony*

Pamiętajcie o tym wszyscy
– Nie obrażać mojej wyspy,
Bo ja jestem tutaj panem!

WÓDZ *do siebie*

Gość ma nieźle narąbane.

Indianie odpływają.

ROBINSON

Mój Wilsonie, czy dasz wiarę?
W wir mnie chcieli porwać szaleństw!
Już się zgodzić chciałem prawie,
Lecz mej wyspy nie zostawię.
By uczynić ją przyjazną
Tyle mocy swej włożyłem!
Miałbym teraz pracę własną
Tak zmarnować i wysiłek?
Ja zostanę tutaj z tobą,
Boś najbliższą mi osobą.
A to głupcy! Czy myśleli,
Że cokolwiek nas rozdzieli?
Już nie widać po nich śladu,
Więc wracajmy do obiadu.

siada przed talerzem i bierze do ust udko małpy, lecz zaraz je odkłada

Nie wystygło! Wciąż gorące,
Więc odczekam trzy miesiące.

Trzy miesiące później. Robinson zajada udko małpy. Pada ulewny deszcz.

ROBINSON

Mój Wilsonie, myślę o tym,
Jak przetrwamy ten czas słoty.
Wszak nie może być to zdrowe,
Gdy wciąż leje nam na głowę.
Lecz wiem co nas uratuje
– Przewspaniały dom zbuduję.
Jam tu władcą – gdzież mój zamek?
Ano, wkrótce tutaj stanie!
W nim się schronię przed ulewą.

wskazując na palmę

Zetnę tylko to tu drzewo
– Za budulec mi posłuży.

po namyśle

Lecz siekiery brak i piły.
Może padnie w czasie burzy,
Gdy w nie trzaśnie piorun miły?

piorun uderza w palmę, ta jednak stoi niewzruszona

Nie, wciąż stoi, twarda sztuka,
Ale, mówiąc między nami,
Cenna płynie stąd nauka,
By ją wyrwać z korzeniami.

rozbitek obejmuje pień i przez kilka chwil ciągnie z całej siły, by w końcu zrezygnować

W kręgosłupie mi trzasnęło,
Ale drzewo ani drgnęło.

rozkładając bezradnie ręce

I już jestem cały mokry!
Los mój taki jest okropny!

uderza się w twarz, by przywołać się do porządku

Robinsonie, głowa w górę!
Ty tej wyspy jesteś królem!
Nie dopuścisz, by wygrała,
Jeśli twoją ma być chwała!

do kociołka

Nie trwóż się więc, Wilson, brachu!
Wnet będziemy spać pod dachem.
Popatrz, ile wokół piachu!
Posłużymy się tym piachem!

lepi z mokrego piasku niekształtny domek

Oto jest posiadłość miła!
Można się przed deszczem schować.

część budowli się zapada, ale Robinson nie traci rezonu i niedbale macha ręką

Jedna ściana się zwała,
Lecz to da się odbudować.

Do wyspy podpływa spory okręt. Na pokładzie stoi kapitan i macha do Robinsona.

KAPITAN

Ahoj, nieznajomy człeku!
Cóż tu robisz w takiej dziczy?
Długo mieszkasz na tym brzegu?

ROBINSON *niepewnie*

Dosyć długo... Któż to zliczy?

KAPITAN

Ciesz się zatem, żem przypłynął,
Bo beze mnie byś tu zginął.
Do Europy właśnie płynę,
A tu nagle w tę godzinę
Na pokład wyszedłem sobie,
Patrzę, a tu jakiś człowiek
Na tej wyspie, sam jak palec.
Obok z piachu usypane
Coś jak szałas lub lepianka...
Chociaż znikła jedna ścianka...
Myślę, pewnie nie bez racji,
Że by taki chciał koleżka
Wrócić do cywilizacji
I w prawdziwym domu mieszkać.

Wsiadaj zatem na mój statek!
Cudne mamy tu kajuty
– Pełen luksus i dostatek!

chwila namysłu, po czym mówi srogo

Więc przed wejściem wytrzymaj buty!

i znów łagodnie i przyjacielsko

Rejs ten ci upłynie miło
I niedługo będziesz w domu!

ROBINSON *gniewnie*

Czy do reszty ci odbiło?
Tak to gadaj byle komu!
Ja tej wyspy jestem królem,
Więc tu rządę i w ogóle!
Zniosło mnie tu niegdyś morze.
Radzę sobie nie najgorzej.
Zwalczam przeciwności losu,
Mam niejednego na to sposób.
Nieźle się tu urządziłem.
Wiele pracy w to włożyłem.
Ja nie z takich – ręcę słowem –
Co przychodzą na gotowe.
Nie chcę ja pomocy wcale,
Więc ją możesz sobie schować!
Gdy chcę w życiu mieć wspaniałe,
Sam to muszę wypracować.
Więc po prostu idź do czarta
I nie zjawiaj się tu więcej!
Ma posiadłość wiele warta,
Bo ją moje wzniosły ręce,
I stanowią te tu włości
Pomnik mojej niezłomności!
Co powiedziałbym potomnym,
Jaki przykład dał młodzieży,
Gdybym, zamiast być niezłomnym,
Dzięki sile ducha przeżył,
Nad przyrodą zapanował,
Swe założyć tu królestwo...
Gdybym tak zdezerterował?
Byłoby to wszak świadectwo,
Żem jest tchórzem – nie tytanem!

KAPITAN *do siebie*

Gość ma nieźle narąbane.

Odplywa.

ROBINSON *pogardliwie*

Po co pomoc nam idioty?

zacierą ręce

No, wracajmy do roboty!
Teraz niech się śmieją wszyscy,
Lecz za lata trzy lub cztery
Zrobię taki raj z tej wyspy,
Że opadną wszystkim szczeny.
W cywilizowane kraje
Wrócę wtedy jako człowiek,
Który kroczył będzie w chwale
I o którym każdy powie:
„Ten nie ugiął się pod ciosem.
Zapanował nad swym losem.
Na swej wyspie stworzył niebo,
A wszak nie miał nic innego,
Tylko nieulekłe serce,
Pracowite, zręczne ręce
I niezłomnej mnóstwo mocy
– To sprawiło, że był w stanie
Całkowicie bez pomocy
Zaprowadzić panowanie
Swe na wyspie i tym dowieść,
Że jest królem świata – człowiek!”
Aż się trochę rozmarzyłem,
Tak to wszystko będzie miłe.

Trzydzieści lat później. Robinson z długą, siwą brodą wypoczywa w pięknie wyrzeźbionym z glazu leżaku i pociąga przez słomkę jakiegoś drinka. Otacza go cały tłum wyrzeźbionych w kamieniu przyjaciół. Jeden z nich zamiast głowy ma kociołek z domalowanymi oczami i uśmiechem. Obok wznosi się wspaniała, piaskowa posiadłość z wieloma strzelistymi wieżami. Nad ogniskiem rożen z dorodną, smakowicie wyglądającą rybą.

ROBINSON

Każdy, kto w te trafi strony,
Będzie musiał szczerze przyznać,
Że stworzyłem raj wcielony.
Nie ma równych moja wyspa!
Gdy mój ujrzą tryumf wspaniały
Wszyscy ludzie – ale będzie!
Wielkiej się doczekam chwały!

po namyśle

I u dam mieć będę wzięcie.
Będą tu wycieczki pływać,
Żeby ludzie zobaczyli,
Jaka tkwi w człowieku siła
I co może on uczynić.

*przez długą chwilę coraz bardziej niecierpliwie wpatruje się w morze, wreszcie traci
opanowanie i pozwala sobie na przejaw irytacji*

Czy ktoś wreszcie tu przybędzie?
Czy nadpłynie na okręcie?
Czy się zjawi jakiś człowiek,
Co o czynach mych się dowie
I zobaczy mój dostatek?
Lata lecą...

gładzi się po brodzie

Broda siwa...
Czekam aż przyplynie statek...

chwila ponurej ciszy

Ale żaden nie przypląwa.

**Tryptyk o groźnej, nieujarzmionej przyrodzie, z którą nie należy
igrać – limeryki**

I

Pewien facet w Bejrucie
Zwykł trzymać jeża w bucie
I kiedy szedł przez miasto,
To nieraz głośno wrzasnął,
W stopę czując ukłucie.

II

Pewien młodzieniec z Kioto
Skończonym był idiotą
I w każdej swej kieszeni
Hodował rój szerszeni
– Żądliły go z ochotą.

III

Pewien jegomość z Mali
Nie lubił zwykłych szali,
Więc kiedy spotkał zmiję,
To nią owinał szyję.
Rychło go pochowali.

Żeńcy sielanka ortograficzna

Wieczorową porą, wyżynając zboże,
Jeden ze żniwiarzy rzekł: „Tak być nie może.

Jak mamy pracować, gdy nie wiemy sami,
Czy my wyżynamy czy też wyrzynamy?

Jak mam to zapisać w swoim życiorysie,
Że te łany zboża wyżynałem dzisiaj?”

Inny z pracowników odparł już po chwili:
„Tylko przez zet z kropką, bracia moi mili.

Zważcie na to, że, jak głosi pewna teza,
Zboże żnie się tylko, a się go nie rzeza,

Stąd różnica w piśmie, choć jej nie ma w mowie.
A teraz już lepiej pracujmy, panowie.

W instruktarzu czytam”, dodał na zachętę,
„Że dziś całe zboże musi zostać zżęte.”

„W instruktarzu, mówisz? Cóż za dziwne słowo!
Czy może francuskie?” „Nie, ty pusta głowo!

Gdy coś z francuskiego języka pochodzi,
Zet z kropką na końcu pisać nam się godzi.

Gdy zaś przez er zet coś pisać jest w zwyczaju,
Znać, że z łacińskiego wywodzi się kraju.

Lecz te pogawędki niepotrzebne zgoła.
Samo się nie wyżnie zboże na tych polach,

Więc miast tu rozprawiać, chwycicie lepiej kosy
I już bez gadania zeżnijcie te kłosa,

Chyba że naprawdę chcecie mieć kłopoty,
Pseudospecjaliści od ciężkiej roboty!”

„Pseudospecjaliści? Ledwo wyrzec umiem!
Słowo czy dwa słowa? Nic już nie rozumiem.”

„Jedno to jest słowo, bo z każdym wyrazem
Ten przedrostek pseudo– trzeba pisać razem.

Ważna to zasada, lecz, druhowie młodzi,

Co was to do licha ciężkiego obchodzi?!

Mamy tu żąć zboże, a nie ciągle gadać
O ortograficznych, cudaczkich zasadach.

Wolę widzieć, jak tu wyżynacie kłosa,
Miałoby być widać wasze równobrzmiące głosy.”

„Równobrzmiące? Takie słowo pierwsze słyszę.
Czy ten termin, druhu, też łącznie napiszesz?”

„No jasne, że łącznie, moi wy kamraci,
Bo to jest przymiotnik, choć w dziwnej postaci.

Obojętnie czy dzień pracy czy niedziela,
Przecież przymiotnika nie będę rozdzielał!

Cóż by ludzie rzekli, gdyby się zwiędzieli,
Żem jeden przymiotnik na części podzielił?

Lecz nie dyskutujmy już z takim przejęciem,
Gdy niezżęte zboże czeka wciąż na zżęcie.”

„Biorę się do pracy, tylko ze swej szklanki
Łyknę sobie jeszcze trochę kryniczanki,

Bo w gardle mi zaschło od tego gadania,
Chociaż to też rzecz do przedyskutowania.

Kryniczankę dużą napisać literą?
Wszak to nazwa własna.” „A to ci dopiero!

Może być i własna, lecz któż o to pyta,
Gdy niepospolicie wprost jest pospolita?

Produkty użytku twego codziennego
Małą pisz literą, szanowny kolego.”

„Dziwna ta zasada mało mnie obchodzi,
Grunt, że kryniczanka me gardło ochłodzi.

Właściwy napitek, jeśli się nadarza,
Supersprzymierzeńcem jest w pracy żniwiarza.”

„Po cóż takie słowa superdługie składasz?”
„Bo zapytać chciałem, gdy już odpowiadasz,

Jak zapisać słowa z tym właśnie przedrostkiem.”
„Co? Z przedrostkiem super- ? Toż to bardzo proste!

Zawsze pisz je łącznie, nigdy nie rozdzielaj,
Jeśli nie chcesz we mnie mieć nieprzyjaciela.

Czy wystarczające moje wyjaśnienie?”
„Supernaukowe, a to właśnie cenię.”

„Zatem już do pracy bierzmyż no się razem!”
„Ach, jakże mnie boli to, że jestem żniwiarzem!

Nic, tylko żąć zboże! Można dostać szał!
Ta praca nie wzbudza we mnie dziś zapału.”

„A czy jakaś praca cię w ogóle rusza?”
„Owszem, drzemie we mnie artystyczna dusza,

Która najświetniejsze malarstwo docenia,
I drugim van Goghem byłbym bez wątpienia,

Choć wpierw jednak muszę wiedzieć przede wszystkim,
Jak się posługiwać tak dziwnym nazwiskiem.

Jaką to literą zapisać należy?”
„Van małą, Gogh dużą, moja wy młodzieży.”

„A jakże odmieniać mam Goi nazwisko?”
„Z samym i na końcu, bez jot. Czy już wszystko?

Czy jakieś pytania jeszcze do mnie macie,
Którymi skutecznie pracę utrudniacie?

Malarze z was żadni, zresztą to nie w modzie,
Świetnie zaś spisiecie się w innym zawodzie.

Możecie napisać, moi wy rodacy,
O, miniporadnik przeszkadzania w pracy.”

„Gdy już o tym mówisz, czy z przedrostkiem mini-
Słowa pisać razem?” „Každy, kto tak czyni,

Z pewnością ma słuszność.” Tak to rozprawiając,
Reguły języka długo omawiając,

Ani się spostrzegli, gdy nadejście nocy
Położyło wreszcie koniec żmudnej pracy.

Poszli więc do domów, niczym na komendę,
A niezżęte zboże nie zostało zżęte.

Zapomniany mit

Wszyscy wiedzą, że Zeus gromowładny miał dwóch braci, Posejdona i Hadesa. Mało kto wie jednak, że nie było to jeszcze całe jego rodzeństwo. Istniał bowiem także ktoś taki jak Domestos, bóstwo czystości i porządku.

A działo się to w czasach, gdy ludzie byli jeszcze istotami, które z naszej dzisiejszej perspektywy określilibyśmy jako „prymitywne”. Żywili się surowym mięsem i płodami ziemi, które spożywali bez uprzedniego przygotowania. Uprawiali zboże, lecz nie piekli chleba. Pożerali kłosa w całości. Mięsa też nie potrafili przyrządzić. Nie umieli sporządzać serów, ani ciast. W ogóle nie przyszło im do głowy, że jedzenie może być przyjemne. Jedli tylko po to, by przeżyć (no ale jest to w zasadzie wystarczający powód, by coś robić).

*

Najmężniejszy i najsłynniejszy w tamtych czasach bohater, zwyczajowo utykając na jedną nogę, wyszedł na świeże powietrze. Usiadł przed wejściem do swej luksusowej, drewnianej chałupy i pogrążył się w myślach.

Zwali go Herkulesem. Przede wszystkim dlatego, że tak miał na imię.

Był naprawdę wielkim herosem. Dokonał niezliczonych mężnych czynów. Tego dnia, a był to poniedziałek, wykonał już dwanaście prac, mianowicie pozamiatał podłogi, wytarł kurze, umył okna, wyczerpał ogródek, wytrzeptał dywany, wypastował podłogę, umył naczynia, wypolerował ozdobne wazy, wyrzucił zbyteczne graty, nazbierał drewna, odgrzybił budynek i zjadł śniadanie. Teraz doszedł do wniosku, że powinien zrobić coś ciekawszego. Wprawdzie pokonał już także tego dnia trzygłowego smoka i rozgromił bandę cyklopów, ale to było ze dwie godziny temu i już zaczynało mu się nudzić. Uznał, że dobrze byłoby przed obiadem ubić jeszcze jakiegoś potwora. Tak na zaostrzenie apetytu.

Przed dom wyszedł nieodłączny druh Herkulusa, towarzysz jego wielu niebezpiecznych wypraw, Liros. Usiadł na ozdobnym gładzie (przetaszczonym tu z dalekich gór przez Herkulusa, gdy ten akurat nie miał nic ciekawszego do roboty) i ujął w dłoń swą lirę. Liros był niezwykle śpiewakiem. Gdy zaczynał grać, cała natura zachowywała się niezgodnie z obowiązującymi prawami. Zalegała wówczas cisza. Cała przyroda wsłuchiwała się w grę Lirosa. Powiadają, że często nawet drzewa wyrwały swe korzenie z ziemi, by podejść bliżej do grajka i go uciszyć (niejednokrotnie w dość brutalny sposób). Ptaki na niebiosach, uderzone fałszem melodii, spadały na ziemię bez życia. W ten sposób na przykład kondory znalazły się na granicy wymarcia.

Herkulus myślał. Nie zdarzało mu się to przesadnie często, ale teraz akurat nie miał nic innego do roboty. Zastanawiał się nad możliwościami. Co może jeszcze zrobić, by nie było tak nudno? Zaczął odszukiwać w pamięci wszystkie potwory, o których słyszał. Może któryś z nich grasuje dostatecznie blisko, żeby dotrzeć do niego i pokonać przed obiadem? Przypomniał sobie tedy Herkulus o mało inteligentnym byku kretyńskim, nader niebezpiecznym zwierzu siejącym chaos i zniszczenie. Ale nie, to nie był dobry pomysł. Byk był zbyt niebezpieczny, nawet dla Herkulusa. Atakował ludzi zupełnie bez ostrzeżenia i bez powodu, co gorsza. Jedną z wielu teorii głosiła, że to dlatego, iż stwór ów cierpi na chorobę szalonych krów. Zatem to odpadało.

Przypomniał sobie następnie Herkulus o mieszkającej niedaleko straszliwej Gorgonie, do której podobno nie chciał się zbliżyć żaden fryzjer.

Przypomniał sobie o straszliwym potworze z głową byka, który zamknął się w labiryncie i nie potrafił wydostać.

Przypomniał sobie o przerażającym dziku grasującym w Koryncie. Dzik ów został zesłany przez gniewną boginię Artemidę, która miała z królem Koryntu pewne porachunki. Stwór

miał zabić monarchę, ale władca miał tylu dzielnych wojowników pod swą komendą, że pokonano zwierzę bez problemu. Artemida po jakimś czasie zesłała następnego dzika. I tego ludzie króla ubili. Gniewna bogini wciąż usiłuje zemścić się na królu, dzięki czemu jego podwładni mają co tydzień świeży dziczy udziec na obiad. Dzik także nie wchodził w rachubę.

Gdy tak Herkulas w zamyśleniu siedział, a Liros nieopodal stroił instrument, zastanawiając się, dlaczego nagle wszelkie żywe stworzenia zniknęły z pola widzenia, przed domem pojawiła się jakaś niewiasta. Podbiegła pośpiesznie do Herkulusa.

– Czy to ty jesteś tym słynnym bohaterem Herkulesem? – spytała prędko, usiłując opanować zadyszkę.

– Ano ja – odparł bohater po krótkim zastanowieniu.

– Musisz mi pomóc!

– Kim jesteś? – Herkulas postanowił wyjaśnić najpierw tę kwestię.

– To jest najmniej ważne – odparła. – Jeżeli rzeczywiście jesteś najsłynniejszym bohaterem Hellady...

– A ja jestem najsłynniejszym śpiewakiem Hellady! – wtrącił skromnie Liros, zauważywszy, że jego osoba została pominięta.

Nieznajoma z niedowierzaniem pokiwała głową.

– Kłamiesz – powiedziała. Zabrzmiało to twierdząco.

– Nic podobnego! Ja nigdy nie kłamię – skłamał Liros.

– Posłuchaj, Herkulasie – odezwała się nieznajoma, ignorując śpiewaka. – Musisz pomóc.

– Tobie? – spytał Herkulas.

– I sobie. Całemu światu. Musisz go uratować.

– Świat?

– Tak.

– Mam uratować świat? – powtórzył Herkulas z niedowierzaniem.

– Zgadza się.

– Znowu?!

– No... – zawahała się nieznajoma. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie wiem, czy zmieszczę to w grafiku.

Herkulas wyciągnął swój kalendarzyk.

– Niech no sprawdzę – powiedział. – We wtorek mam pokonać smoka w Tebach, w środę walka z potworem morskim, w czwartek pojedynki z krwiożerczymi ptakami stymfalijskimi, w piątek starcie z cyklopem, w sobotę walka z chimera, a w niedzielę to już nie przelewki, wizyta u teściowej. Zaraz! Dzisiejszy dzień mam wolny. Jestem do twojej dyspozycji. – Uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd kremowych zębów.

– To dobrze.

– Możesz mi teraz zdradzić, co zagraża światu?

– Oczywiście – odparła nieznajoma. – Słyszałeś z pewnością o Domestosie. Otóż...

– O kim?

– No... O Domestosie.

Herkulas i Liros wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Ja pierwsze słyszę – przyznał Liros.

– U mnie to samo – rzekł Herkulas.

– Jak to? – zdziwiła się nieznajoma. – Naprawdę? Domestos to bóg ładu i porządku. Brat Zeusa. I Posejdona, rzecz jasna. I Hadesa.

– Dobrze, dobrze. Nie wgłębiajmy się może teraz w genealogiczne szczegóły – zaproponował Liros. – Czy ten Domestos nam zagraża?

– Zagraża bogom olimpijskim, a cóż dopiero wam! – wyjaśniła. – Domestos zamierza podczas najbliższej uczty na Olimpie dodać trucizny z jadu hydry do nektaru. W ten sposób

pozbędzie się olimpijskiej dwunastki. Konkurencja zniknie. Będzie władcą. A jako władca miłujący czystość i porządek, zniszczy rodzaj ludzki, który jest brudny i nieokrzesany. Ludzie psują Domestosowi jego wizję. Wizję idealnego świata.

– Gadałaś z tym całym Domestosem osobiście? – wtrącił Liros. – Skąd możesz wiedzieć, co on zamierza? Przecież z twych słów wynika, że nawet sam Zeus o tym nie wie. A ty, śmiertelniczka...

– Jestem boginią – wyjaśniła nieznajoma.

– Aha – mruknął Herkulas ze zrozumieniem (jednocześnie pokazując Lirosowi na migi, że mają do czynienia z osobą niezrównoważoną psychicznie). – Rozumiem.

– Jestem boginią ulgi i ukojenia, czczoną głównie po Dionizjach. Zwę się Alkaprima. Ale przejdźmy do rzeczy. Odkryłam plany Domestosa.

– Dlaczego więc nie zdradziłaś ich innym bogom?

– Nie zdążyłam. Domestos odkrył, że znam jego plany. I zrzucił mnie na ziemię.

– Nie możesz wrócić na Olimp? – spytał Herkulas.

– Raczej wykracza to poza moje możliwości – westchnęła Alkaprima. – Mam magiczną tarczę, róg obfitości, magiczne wędzidło, czapkę niewidkę, cudowną włócznię i czterolistną koniczynkę, ale skrzydlate sandały nie należą już do mojego standardowego wyposażenia.

– Wszystko rozumiem, ale czego ode mnie oczekujesz?

– Chcę, byś pokonał Domestosa.

– No to musiałbym się dostać na Olimp – zauważył trafnie Herkulas (który bystrością umysłu wyprzedzał swoją epokę co najmniej o trzy miesiące). – Nie bardzo wiem, jak tego dokonać.

– Na szczęście ja wiem, co powinieneś zrobić – rzekła Alkaprima. – Ruszajmy w drogę!

– Dokąd? – spytali równocześnie Herkulas i Liros.

– Do wulkanu Etna – wyjaśniła Alkaprima. – Wiecie jak to daleko? Trzeba już ruszać.

– A jak to daleko? – zainteresował się Herkulas.

– Okrutnie daleko. Jak my jesteśmy tutaj... – Położyła na ziemi kamyk. – ...to Etna będzie gdzieś... przy tym drzewie. – Zrobiła kilka kroków i położyła następny.

Herkulas aż zagwizdał.

– Okrutnie daleko.

– Przecież mówię – zniecierpliwiła się Alkaprima. – Dlatego trzeba już ruszać.

– Ale właściwie po co?

– Wyjaśnię wam po drodze.

Wkrótce Herkulas i Liros osiodłali konie i ruszyli w drogę. Alkaprima towarzyszyła im na białym rumaku, który nie wiadomo skąd się wziął.

Gdy galopowali rażno, Alkaprima wyjaśniła im, po co właściwie kierują się tam, gdzie się kierują:

– W wulkanie mieszka bóg ognia, Hefajstos. Kojarzycie? Taki brzydał, pracuje z cyklopami. Ostatnio zmajstrował latający rydwan. Cudo techniki. Lata nawet wtedy, gdy nikt go nie ciągnie.

– Lata samoistnie? – zdziwił się Liros.

– No przecież mówię.

– Lata sam z siebie?! Bez żadnych środków wspomagających? Zupełnie sam? Hm, myślę, że nazwa „samolot” byłaby dla niego odpowiednia.

– Mniejsza o nazwę – rzekła Alkaprima. – Grunt, że ten rydwan pomoże nam dostać się na Olimp.

– No tak, ale czy Hefajstos nam go da? – zastanowił się Herkulas.

– A jak myślisz? Oczywiście, że nie da. Liczę, że zdołasz coś wykombinować.

Galopowali przez wiele dni. Od czasu do czasu napotykali ludzkie osady, w których zaopatrywali się w żywność. Podróż mijała im bez większych przygód (parę razy zaatakowali

ich zbójcy, a raz smok, ale dla Herkulusa to nie były przygody, a tylko zwykła rutyna). Po pewnym czasie Lirosa zaczęło ogarniać znużenie, a Herkulusa wątpliwości. W miastach spotykał wielu ludzi. Złych ludzi.

– Pamiętacie tego rzemieślnika, który bił swego podwładnego? – rzekł heros, gdy zatrzymali się na popas w niewielkiej dolinie. Było stąd już doskonale widać Etnę.

– Tak – odparł Liros. – Wredny facet. Zdarzają się wśród ludzi prawdziwi okrutnicy.

– Zbyt często – stwierdził Herkulus. – Pamiętasz tego kupca, który chciał nas oszukać? Albo tych zbójców, którzy nas tyle razy napadali? Dlaczego to robią?

– Bo nie chcą się wziąć do uczciwej roboty – odparł Liros.

– Nie liczą się z innymi – podsumował Herkulus. – Myślą tylko o sobie. Ludzie są źli. Są okrutni i bezlitośni. Myślę, że jeśli Domestos przejmie władzę i wytraci wszystkich ludzi, światu wyjdzie to tylko na dobre.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy mu w tym przeszkodzić? – zdziwiła się Alkaprima.

– Być może.

– Słuchaj no – rzekł Liros. – Ludzie bywają wredni, to prawda. Ale nie nam ich sądzić. Zresztą, póki żyją, mogą jeszcze się zmienić. A poza tym, nie wszyscy są tacy. Są też ludzie uczciwi i dobrzy.

– Możesz podać przykład? – spytał Herkulus skromnie, licząc, że za chwilę padnie jego imię.

Liros spojrział na niego z uśmiechem na ustach.

– Oczywiście – powiedział. – Na przykład ja.

– Ach tak.

– Nie ma się co zastanawiać nad tym wszystkim – wtrąciła Alkaprima. – Ruszajmy w drogę.

Była bardzo niecierpliwą osobą.

Jako że Etna znajduje się na wyspie, w końcu zmuszeni byli przesiąść się na statek. Było trochę komplikacji z logistyką, ale ostatecznie wszystko się udało i oto znaleźli się wreszcie u podnóża wulkanu. Z krateru dobywały się kłęby czarnego dymu, nie wróżące nic szczególnie przyjemnego. Herkulus rozpoczął wspinaczkę po zboczu Etny. Sam. Liros stwierdził, że nie może mu towarzyszyć, ponieważ doznał nagłego natchnienia i musi ułożyć balladę, a Alkaprima także musiała zostać, gdyż chciała doprowadzić do porządku swoje włosy.

– O, na boga zdrowych włosów, potężnego Nizorala! – zawołała. – Wyglądam jak strach na wróble! Nie mogę się tak pokazać na Olimpie! Idź sam!

Szedł zatem. Wiedział, że musi pożyczyć od Hefajstosa latający rydwan. Nie wiedział tylko, jak ma to zrobić. Miał bujną wyobraźnię, ale nie potrafił sobie jakoś wyobrazić, że bóg ognia tak po prostu pożycza mu powóz.

Herkulus znajdował się już bardzo wysoko. Piękna pogoda sprawiła, że wspinaczka była bardzo przyjemna, co jednak mogło się w każdej chwili zmienić, gdyby spadł deszcz, albo gdyby spadło coś innego, na przykład Herkulus we własnej osobie. A było to całkiem realne, gdyż co jakiś czas obluźowane kamienie osuwały się spod jego stóp i bohater czasem niebezpiecznie się zsuwał.

W końcu heros znalazł się na szczycie. Z wyraźną niechęcią spojrział w ziejącą czelusć wulkanu. Po wspinaczkę w górę czekało go jeszcze gorsze zadanie – droga na dół. Herkulus bardzo się ucieszył, gdy dotknął wreszcie podłoża. Był trochę obolały, gdyż nie wszystko poszło zgodnie z jego planem. Kamienie były nieco bardziej obluźowane niż zwykle, w związku z czym bohater znalazł się na dnie krateru szybciej niż zamierzał.

Jego oczom ukazał się niezwykle widok. Ogromna kuźnia. Wielu cyklopów pracowicie walących młotami, co dawało więcej hałasu niż efektu. A pośród tej gromady uwijał się sam bóg ognia, krzykliwym głosem wydając polecenia. Zauważywszy intruza, zatrzymał się.

– Co tu robisz?! – wrzasnął. – Nie można tak tu sobie włączyć! Chyba że chcesz się nająć do roboty! Czego chciałeś?! Nie mam czasu, by go marnować na rozmowę z tobą!

Herkulas uznał, że bóg jest zbyt gniewny, by zechciał tak po prostu pożyczyć rydwan. Trzeba będzie zadziałać podstępem.

– O, wielki Hefajstosie! – zawołał. – Mistrzu kowali, władco ognia, pogromco płomieni...

– Daruj sobie te uprzejmości! Wiem, kim jestem! – warknął Hefajstos. – Przejdźmy do konkretów. Coś za jeden?

– Jestem... ten... no... – zastanowił się Herkulas. – Jestem z komisji olimpijskiej.

– Że co? – zdziwił się Hefajstos.

– Właśnie tak – rzekł Herkulas. – Mam sprawdzić, czy wyrabiane w tej kuźni żelastwo spełnia wymogi bezpieczeństwa.

– Wyrabiam tu strzały, sztylety i miecze! – zauważył Hefajstos. – Takie do dźgania, sieczenia, przeszywania i wypruwania flaków! Jak taki sprzęt może spełniać jakiegokolwiek wymogi bezpieczeństwa?!

– Chciałbym sprawdzić...

– Wynocha mi stąd!

– W porządku – mruknął Herkulas niby od niechcienia. – Idę. Ale Zeus nie będzie zbyt zadowolony. Ostatnio driady leśne nie chciały, bym sprawdził, czy ich drzewa są utrzymane w należyтым porządku. Przegoniły mnie. Za to Zeus gromowładny wygnał je z lasu na sto lat. Jesteś chyba przywiązany do swojego wulkanu, co?

– Zeus nie mógłby mi zrobić nic złego – stwierdził Hefajstos z przekonaniem. – Jestem jego synem.

– Myślałem, że to on zrzucił cię z Olimpu na ziemię – przypomniał nienachalnie Herkulas.

– Grrr! Że też te plotki się zawsze tak szybko roznoszą. – odparł niezadowolony bóg ognia.

– No dobra, dobra! Sprawdź sobie te wymogi!

Herkulas zaczął przechadzać się po kuźni. Przyglądał się broni masowo produkowanej przez Hefajstosa i z istic aktorską wprawą imitował zainteresowanie.

– Cóż za wspaniałe miecze! – zachwycił się.

– Prawda? Nikt nie ma takiego! – mówił z dumą Hefajstos. – Zamówienie od Aresa – dodał formalnie.

– A te strzały? Produkujecie strzały? Myślałem, że robi się je z drewna.

– Tak – zgodził się bóg ognia. – Ale my dodajemy metalowe groty.

– Strzały z metalowymi grotami? – zdziwił się Herkulas.

– Naturalnie. Są teraz na czasie. Ostatni krzyk mody. Każdy chce mieć takie. Nasza kuźnia „Hefajstos & Cyklopi” nie nadąza z produkcją.

– A to?! Cud techniki! – zawołał Herkulas zatrzymując się przed stojącym w kącie rydwanem.

– Latający – wyjaśnił Hefajstos. – Mój własny patent. Choćbyś miał zdechnąć, nie zgadniesz, jak to działa.

– Muszę sprawdzić, czy jest bezpieczny – rzekł Herkulas. – Chciałbym odbyć krótką przejażdżkę.

– Czy to konieczne? – Pan kowali skrzywił się.

– Oczywiście. Tylko w ten sposób dowiem się, czy korzystanie z tego przemysłnego urządzenia jest bezpieczne.

– Nie możesz ocenić tego na oko? – spytał Hefajstos.

– W porządku, ale jeśli moja opinia będzie niepoehlebna, o wielki, wylecisz z roboty – rzekł Herkulas ostrym tonem.

– Proszę bardzo. – Hefajstos głośno przełknął ślinę.

Herkulas wyciągnął kartkę i ołówek.

– Zobaczmy. – Surowo przyjrzał się rydwanowi. – Hm. Nie ma uchwytów na kubki.

– O... – stropił się Hefajstos. – Nie sądziłem, że to ważne.

– No jak to? – Herkulas wybałuszył na niego oczy. – To przecież podstawa.

Hefajstos markotnie spuścił wzrok.

– Widzę też, że nie ma pasów bezpieczeństwa. – Herkulas zapisał na kartce duży minus. – Łatwo można z czegoś takiego wypaść. Nie no, to na pewno nie spełnia wymogów bezpieczeństwa. Niech no tylko Zeus się dowie...

Hefajstos otarł spocone czoło wielką chustą w grochy.

– Powiadasz, że łatwo można z tego rydwanu wypaść? – spytał z chytrym uśmieszkiem. – Hm. Wiesz co... Może jednak zgodzę się na próbną przejażdżkę. Bierz rydwan i w drogę! Miłego lotu!

Herkulas naturalnie nigdy nie pilotował czegoś takiego. Okazało się jednak, że jest to całkiem łatwe. Rydwan uniósł się w powietrze i podążał zawsze w tę stronę, o której myślał kierowca. Bohater wyleciał z wulkanu. Miętko wylądował obok Lirosa i Alkaprimy.

– Dobra robota – pochwaliła bogini.

– Możemy lecieć na Olimp. – Herkulas uśmiechnął się.

– Nie. Jeszcze nie. Wiemy już, jak się tam dostać – rzekła Alkaprima. – Z tym nie będzie problemu, zgoda. Ale jak chcesz pokonać Domestosa?

– No... zwyczajnie – odparł bez pewności w głosie. – Spuści się mu łomot.

– To nie będzie takie proste. Jest bogiem. Bogowie są nieśmiertelni.

– No tak... – Heros podrapał się po głowie. – Coś tak czułem.

– Skoro bogowie są nieśmiertelni, to właściwie w jaki sposób Domestos chce ich otruć? – wtrącił Liros.

– Mówiłam już – rzekła Alkaprima. – Ma zamiar dodać do nektaru jadu hydry, jedynej substancji, która może zabić boga. Wobec powyższego, ty też musisz zdobyć jad hydry.

– Rzeczywiście – mruknął Herkulas bez specjalnego entuzjazmu. – Kiepsko.

– Ale kanał – westchnął Liros.

W owych czasach żyło jeszcze na świecie trochę hydr, straszliwych, wielogłowych potworów. W ciągu kilkuset lat zostały jednak do szczętu wytępione. Ostatnią żyjącą na wolności hydrę ubił kilka wieków później Herakles, mimo stanowczego sprzeciwu Greckiej Ligi Ochrony Przyrody.

Herkulas, Liros i Alkaprima wsiedli na rydwan i kazali mu znaleźć jakąś hydrę. Powóz ruszył na wschód, unosząc się pół metra nad ziemią.

– Kiedy ma właściwie odbyć się ta uczta bogów? – spytał Herkulas.

– Jutro, w samo południe – odparła Alkaprima. – Będzie tam cała śmietanka! Zeus, władca nieba i ziemi; Posejdon, król mórz i oceanów; Hades, władca podziemnego świata; Ares, bóg wojny; Atena, bogini wojny i mądrości; Hera, małżonka Zeusa; Hefajstos, bóg ognia; Afrodyta, bogini miłości; Dionizos, bóg wina; Hestia, bogini ogniska domowego; Demeter, bogini urodzaju; Persefona, pani świata umarłych; Apollo, bóg sztuki; Hermes, posłaniec bogów; Helios, bóg słońca; Hekate, bogini ciemności; Eros, syn Afrodyty; Hebe, bogini młodości; Nike, bogini zwycięstwa; Amfitryta, bogini wód; Eris, bogini niezgody; Ilithia, bogini narodzin; Thanatos, bóg śmierci; Artemida, bogini łowów i wielu, wielu innych bogów i bogiń, których imion sam Zeus gromowładny nie pamięta.

Liros ocknął się z krótkiej drzemki.

– O, skończyłaś już wymieniać! – zauważył z zadowoleniem.

– Każdy bóg zajmuje się jakąś dziedziną – rzekł Herkulas. – Alkaprima, jesteś boginią. Ale boginią czego? Jaka jest twoja specjalność?

– Zdawało mi się, że już ci mówiłam. Skleroza w twoim wieku? Jestem boginią... eee... – zastanowiła się Alkaprima. – No przecież mówiłam, jestem opiekunką amatorów pomarańczy i biegów przez płotki.

– Aha – mruknął inteligentnie Herkulas. Wydawało mu się, że ostatnio mówiła coś innego, ale w końcu to ona musiała wiedzieć lepiej. Zresztą, może się przekwalifikowała.

– Nudno trochę – zauważył Liros, którego nużyła już ta wyprawa. – Nic się nie dzieje. Siedzimy sobie beczynn timer w rydwanie, który sunie pół metra nad ziemią ruchem jednostajnym prostoliniowym. Powinniśmy coś zrobić.

– Zrobimy, gdy spotkamy się z hydrą – zauważyła Alkaprima.

– Ale nie możemy siedzieć beczynn timer – stwierdził Liros. – Może zagramy w liczenie drzew?

– To jakaś skomplikowana gra? – spytał Herkulas.

– Nie bardzo – odparł Liros. – Liczy się drzewa. Jak zobaczysz drzewo, przyznajesz sobie punkt, rozumiesz. Ten, kto zdobędzie więcej punktów, wygrywa.

– Niewiele tu drzew – westchnął Herkulas.

Wtem na horyzoncie pojawił się las. Rydwan zmierzał ku niemu.

– Świetnie – mruknął Liros.

Zakończyli grę po tym, jak Herkulas zdobył pięć tysięcy punktów, a Liros stracił rachubę.

Wkrótce zatrzymali się nad jeziorem, by odpocząć. Wytężywszy umysł Herkulas zorientował się, że tak właściwie, to aby mieć strzały maczane w jądzie hydry, powinien mieć nie tylko jad hydry, ale też strzały. Zajął się tym czym prędzej. Wystrugał dwanaście niezbyt udanych strzał, jedenaście brzożowych i jedną dębową. Liros w tym czasie zrywał sobie fiołki i lilie (bez żadnego konkretnego powodu i celu, chyba po prostu był zniewieściały). Alkaprima nie robiła nic, co było całkiem zrozumiałe, jako że w pobliżu nie było akurat amatorów pomarańczy ani biegów przez płotki. Mogłaby wprawdzie wspomóc swych towarzyszy, ale do strugania strzał nie nawykła, a kwiatów jakoś nie lubiła (Liros pewnie zresztą też ich nie lubił, skoro je zrywał, mimo iż niczym mu nie zawiniły).

Gdy Herkulas skończył struganie strzał, a Liros oczyścił okolicę z kwiatów, wsiedli znów do rydwanu i kazali mu szukać hydry. Powóz ani drgnął.

– Masz szukać hydry! Ruszaj! – zawołał Herkulas.

Rydwan jednakże wcale nie ruszył.

– Chyba się zepsuł – mruknął Liros. – Hefajstos to cwaniak. Weisnął ci jakiś wadliwy egzemplarz. Zauważyłem zresztą, że nawet o uchwytach na kubki zapomniał.

– Czemu nie ruszasz?! – wrzasnął Herkulas (cierpliwość nie była jego mocną stroną). – Masz szukać hydry!

Wtem tafla jeziora poruszyła się. Coś zabulgotało, krótko i nieprzyjemnie. I wtedy z wody wynurzył się straszliwy, trzynastogłowy potwór.

– Aha – mruknął Herkulas, dobywając miecza. – To teraz już jasne, dlaczego rydwan nie chciał ruszyć by szukać hydry. Już ją znalazł.

Hydra z rykiem ruszyła ku nim. Reakcja Lirosa była błyskawiczna. Rzucił się na ziemię z krzykiem i wczołgał pod rydwan. Alkaprima w jednej chwili znalazła się na najwyższym drzewie.

Herkulas stanął oko w oko z potworem. Coś zabulgotało. Hydra splunęła trującym jadem. Herkulas odskoczył. Stwór zbliżył do niego swą straszliwą paszczę. Heros doskoczył i ciął mieczem w szyję gada. Odrąbana głowa upadła na trawę. Herkulas nie był dzieckiem. Wiedział, że hydrze na miejscu jednej odciętej głowy wyrastają dwie nowe. Zdziwił się więc, gdy potworowi wyrosły trzy.

Bohater prędko uskoczył przed śmiercionośnymi szczękami, które zatrzasnęły się ze szczękiem. Przetoczył się pod nogami hydry. Postanowił, że skoro odcięcie łba nie zabije potwora, to musi mu wbić miecz w serce. Tak też uczynił. Oręż złamał się na twardej łusce. Herkulas przetoczył się kilka metrów dalej i gwałtownie zerwał się z ziemi. Potwór ruszył na niego. Heros podbiegł do rydwanu i wyciągnął swój podróżny tobołek. Wyjął z niego sporej

wielkości miskę. Hydra ponownie splunęła. Herkulas nadstawił naczynie. Prędko wskoczył do powozu.

– Alkaprimo! Lirosie! – zawołał. – W nogi! Do rydwanu! Szybko!

Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. Po kilku sekundach siedzieli w rydwanie. Hydra się zbliżała.

– Na Olimp! – wrzasnął Herkulas.

Rydwan uniósł się w powietrze. Hydra została w dole, rycząc z niezadowoleniem kogoś, komu przepadł obiad.

– Mieliśmy chyba zdobyć jad hydry, a tymczasem najzwyczajniej w świecie sobie zwiewamy – zauważył Liros z zadowoleniem.

– Mam jad hydry. W tej misce – rzekł Herkulas.

Wyciągnął z kołczanu strzały i począł je maczać w substancji.

– Uważaj, nie zrań się – ostrzegła Alkaprima. – Chyba, że chcesz się przenieść błyskawicznie na Pola Elizejskie. Jad hydry jest dla każdego śmiertelny.

– Dotarło to do mnie. No wiesz, ostatnim razem, kiedy to mówiłaś.

W dali majaczył już szczyt Olimpu. Lecieli przez całą noc.

– Jak to jest być bohaterem? – spytała ni stąd ni zowąd Alkaprima.

– Nieźle – odparł Herkulas. – To znaczy, jeśli ktoś lubi codziennie tłuc się z potworami. To niebezpieczny fach, ale myślę, że normalne życie byłoby dla mnie nudne.

– Niesamowite! – zawołał Liros. – To szczyt Olimpu!

Pod nimi rozciągał się wierzchołek góry. Piętrzyły się tam rozmaite, monumentalne pałace, rozciągały się we wszystkie strony piękne ogrody, a wszystko to było gustownie udekorowane fontannami.

– Oto jest kraina bogów – szepnęła Alkaprima.

– Mhm... Trochę cukierkowa. – Herkulas nie dał znać po sobie znać, że widok zrobił na nim wrażenie.

Na rozległym, pokrytym złotem placu ustawiony był gigantycznej długości stół, przy którym zgromadzony był tłum postaci, od których promieniował niezwykle blask. To mogli być tylko bogowie. Nie było innej opcji.

– To bogowie – poinformowała Alkaprima.

– Nie może być – odparł Herkulas.

– Już uczują. Mam nadzieję, że Domestos nie zdążył jeszcze zatruć nektaru. Będziesz musiał szybko działać. Popilnuj ci łuku i strzał.

Herkulas nakazał rydwanowi zejść do lądowania, co ten wkrótce uczynił. Zdumieni bogowie zwrócili wzrok ku śmiertelnikom, którzy ośmielili się wtargnąć do ich siedziby. W jednym końcu stołu podniósł się potężny, brodaty, majestatyczny mężczyzna. Herkulas domyślił się, że jest to Zeus. Ojciec bogów wykrzyknął:

– Kim jesteście i jak śmiecie zakłócać nam ucztę?!

Herkulas wyszedł z rydwanu. Liros wygramolił się za nim. Na ostatku zeszła na ziemię Alkaprima, trzymając łuk i kołczan Herkulasa.

– Jestem Herkulas, a to mój przyjaciel Liros – przedstawił bohater. – A ta dziewczyna to...

– Domestos!!! – krzyknął jeden z bogów (obciachowe skrzydlate sandały wskazywały, iż jest to Hermes).

Bogowie zastygli w bezruchu, wpatrując się w przybyszów przerażonymi oczyma. Zdziwiony Herkulas obejrzał się na Alkaprimę. Było w niej coś dziwnego. Wiedział już, co. Celowała z łuku do Zeusa.

– Niech ktokolwiek się ruszy, a nie ujrzycie już swojego gromowładnego władcy! – zawołała groźnie.

– Alkaprima, przestań się wygłupiać – zaproponował łagodnie Herkulas. – Oddaj mi łuk. I strzały, przede wszystkim. Jeszcze zrobisz komuś krzywdę.

– O to mi chodzi, ofermo! – zawołała bogini. – I nie nazywaj mnie „Alkaprima”. Jestem Domestos!

– Zastanawiająca sprawa – rzekł Liros. – Myślałem, że Domestos to facet.

– Miałaś tak myśleć! – zawołała bogini. – To taka moja dezinformacja, rozumiesz? Planowałam zamach na życie Zeusa i reszty olimpijskich bogów. Ale przejrzeni moje zamiary. Zeus strącił mnie z niebios na ziemię. Nie miałam już prawa wstępu na Olimp. Ale ty mi pomogłeś.

– To znaczy, że... czekaj... oszukałaś mnie? – Herkulas dodał dwa do dwóch.

– Oczywiście! Dzięki tobie zdobyłam magiczny rydwan i mogłam się tu dostać! – zaśmiała się Domestos. – I dzięki tobie nie musiałam zdobywać jadu hydry na własną rękę! Ty go dla mnie zdobyłeś! A teraz skończ z bogami i skończ z tobą, a świat przejdzie w moje władanie!

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał Zeus.

– Właśnie! To podłe! – stwierdziła Afrodyta.

– To wbrew boskiemu prawu! – zauważyła Persefona.

– Już nigdy w życiu nie wpuszczę do swojej kuźni nikogo z komisji olimpijskiej – mruknął Hefajstos.

– Skończę z wami, przejmę władzę i zniszczę ludzi! – zawołała Domestos, upajając się swą przewagą. – Wytracę ludzi, ponieważ są źli, okrutni i nieuczciwi! Psują porządek świata!

– Zniszcz też siebie przy okazji! – poradził Herkulas.

– Co masz na myśli?! – spytała gniewnie Domestos.

– Ty też psujesz porządek świata! – wyjaśnił Herkulas. – Zarzucasz ludziom, że są źli i okrutni? A ty nie jesteś? Chcesz zabić innych bogów! To podłe! Zarzucasz ludziom nieuczciwość? A ty byłaś wobec nas uczciwa? Oszukałaś nas! Podałaś się za kogoś, kim nie jesteś, by osiągnąć swój nieczyny cel! Nie znosisz nieporządku i wszystkiego, co zakłóca ład świata, ale ty sama go zakłócasz!

– Przeestaaa!!! – krzyknęła rozpaczliwie Domestos.

Zaczęła się giąć i skręcać. Z jej ust i uszu buchały kłęby pary. Upuściła łuk i kołczan ze strzałami. Rzuciła się do rozpaczliwego biegu. Instynktownie niszczyła wszystko, co psuło porządek świata. Czuła teraz, że sama ulega samounicestwieniu.

Herkulas podbiegł do swego łuku. Podniósł go i chwycił kołczan ze strzałami. Zaczął je po kolei wypuszczać w stronę Domestos. Bogini wykonała prosty ruch ręką i stworzyła wokół siebie pole ochronne, które nie dopuszczało do niej strzał. Starła się uspokoić. Nie może przecież sama się unicestwić. Ale zakłóca porządek świata! Starła się o tym nie myśleć. Zapomnieć.

Herkulas czuł, że zaczyna być niebezpiecznie. Wystrzelił już jedenaście strzał. Pole ochronne stworzone przez Domestos skutecznie ją jednak broniło. Herosowi pozostała ostatnia strzała, dębowa. Przygotował się. Wycelował. Puścił cięciwę. Strzała ze świstem przecięła powietrze. Przebiła pole ochronne i utkwiała w sercu niecznej bogini.

Siła jadu hydry połączona z reakcją samolikwidacji dała nieoczekiwane efekty. Nastąpiła potężna eksplozja. Herkulas i Liros zmrużyli oczy, bogowie jednak bez drgnięcia powieki oglądali to wszystko. Fala uderzeniowa dotarła do nich. Herkulas czuł, że silny podmuch usiłuje go porwać ze sobą. Złapał się kolumny jednej z olimpijskich budowli.

Siła uderzenia wyrzuciła w powietrze bogato zastawione stoły. Boskie potrawy poczęły spadać na ziemię. Zdumieni mieszkańcy Grecji nie mogli wyjść ze zdziwienia. Mnóstwo potraw spadło w kraju. Ateny zostały nawiedzone przez deszcz udek z kurczaka, a nad Spartą spadły wędzone ryby. Opady miodu nad Tebami nie ustawały przez dwa dni. Czekolada z olimpijskich stołów zalała pola pszenicy. Spadł też z niebios najwspanialszy po ambrozji pokarm bogów. Chleb.

Eksplodacja była silna, lecz uporządkowana, co objawiło się tym, że każda lecąca z nieba potrawa trafiła we właściwe miejsce. Marynowane ślimaki spadły we Francji. Piwo obrało za cel Niemcy. Spaghetti i pizza uderzyły we Włochy. Deszcz wódki spadł natomiast w Rosji. Do Ameryki trafiły hamburgery. Na Antarktydę spadły duszone kamienie, ale ponieważ na Antarktydzie nikt wtedy akurat nie mieszkał, przeto żaden człowiek nigdy nie widział i nie próbował tej niezwykłej potrawy.

Na Olimpie tymczasem zaległa cisza. Zaraz potem odezwały się wiwaty bogów. Wszyscy wzniesli okrzyk na cześć Herkulusa.

– Uratowałeś nas – rzekł Zeus. – Wzbudziłeś w Domestos wstręt do samej siebie.

– Musiałem coś zrobić – wyjaśnił Herkulus. – Chciała was zniszczyć. I ludzi. Wiem, że ludzie są źli, ale... ale nie wszyscy.

– Wiemy o tym – rzekł Zeus. – Ale nie chcemy wytracić rodzaju ludzkiego. Ludzie bywają okrutni, ale dajemy im szansę. Mają wolność wyboru. Mają prawo wrócić na dobrą drogę.

– Ale czy to zrobią? – mruknął Liros.

– Wracajcie, bohaterowie, do swego domu i nie obawiajcie się. Nie jest tak źle, jak myślicie. Dobrzy ludzie znajdują się zawsze, obojętnie jak okrutny stałby się świat.

– Racja – uśmiechnął się Herkulus.

I tym optymistycznym akcentem powinniśmy zakończyć tę historię.

*

Ale nie zrobimy tego, bo wypada jeszcze dodać, że Herkulus i Liros wrócili szczęśliwie do domu. Oddali Hefajstosowi jego rydwan. Wóz był trochę poobijany i w kilku miejscach gniewny bóg ognia zauważył odpryski lakieru. Postanowił przeprowadzić generalny remont, a przy okazji ulepszyć swój pojazd i zaopatrzyć w takie dodatki jak poduszka powietrzna, ABS i ręczne wspomaganie kierownicy (najpierw jednakże należało wmontować kierownicę, rzecz jasna). Do uchwytych na kubki nie dał się jednak przekonać.

Bohaterowie wrócili do swojej chałupy. Przez kilka dni po ocaleniu świata Herkulus był tak zmęczony, że nie koncentrował się nawet na własnej pracy. Pokonywał wprawdzie grasujące w okolicy potwory, ale czynił to tak niedbale i nieefektywnie, że jego klienci nieraz zgłaszali reklamacje i żądali zwrotu pieniędzy. Po kilku dniach jednak bohater wrócił do dawnej formy.

Liros natychmiast ułożył o tych wszystkich niezwykłych wydarzeniach długą, nużącą balladę i wyśpiewywał ją wieczorami. Herkulus dziękował bogom za swoje mocne nerwy. Heros i jego druh żyli wesoło, ciekawie i generalnie nieźle. Tak jak zawsze.

Bogowie otaczali ich swoimi łaskami, mając wobec nich niezaprzeczalny dług wdzięczności. Zeus i reszta kompanii mieli się dobrze. Niedługo groza starcia z Domestos minęła i znów powróciły wesołe, pełne radości olimpijskie uczyty.

Hydra też miała się nadzwyczaj dobrze. Do końca życia była przekonana, że musiał powstać jej fanklub, skoro jakiś wielbiciel przybył z dalekich stron tylko po to, by wziąć sobie trochę jej śliny.

I na tym już naprawdę moglibyśmy zakończyć.

*

Ale tego nie zrobimy, bo należy jeszcze nadmienić, co w tym czasie działo się na ziemi. Ludzie pozbierali potrawy, które spadły z niebios. Szybko przekonali się, że są jadalne. Były pyszne. Nie mogli wyjść z podziwu. Jeszcze bardziej zdziwili się, gdy odkryli, że owe potrawy sporządzone są z doskonale znanych im składników. Mięso należało do znanych im zwierząt, było tylko upieczone i odpowiednio przyprawione. Znakomity chleb był upieczony ze zboża, które dotychczas ludzie jedli bez odpowiedniej obróbki.

Postarali się mieszkańcy Grecji naśladować bogów i nauczyli się przyrządzać ich potrawy. Przekonali się bowiem, że jedzenie może być przyjemne, a to, co się spożywa, może być całkiem smaczne.

Król smoków

we współpracy z Janem Mazurem

Jeziro było zaczarowane. To nie ulegało wątpliwości. Zbyt wiele widziano znaków dziwnych i tajemniczych, by w to powątpiewać. Działała tu jakaś prastara magia, która sprawiała, że o każdej porze dnia i nocy było ono jednakowo mokre i głębokie. Latem pojawiała się na nim rzęsa wodna, a zimą lód. Działy się w nim prawdziwe dziwy. Tonęła w jego toni każda dziurawa łódź, choć wiele innych rzeczy wrzuconych przez miejscowych, potrafiło bez końca pływać po jego powierzchni. Jezero posiadało też unikalną właściwość, tak przynajmniej twierdzono w okolicy. Powiadano, że kto w pogodny i bezwietrzny poranek zajrzy w jego czystą wodę, ujrzy w niej najpiękniejsze oblicze na ziemi. Wielu niedowiarków osobiście chciało to sprawdzić i po powrocie niektórzy z nich zarzekali się, że to absolutna prawda. Większość wracała nieco rozczarowana, ale tylko dlatego, że nie udało im się trafić na czystą wodę.

Jeziro było też niebezpieczne. Opowiadano o tym ściszym, złknięm szeptem. Szeptano o budzącej przestkach, nienazwanej grozie czającej się w głębinach. Wielu amatorów pływania po zanurzeniu się w jego zielonych wodach ginęło bez wieści. Zaś kiedy wiatr wiał od wody, przerażeni mieszkańcy okolicznych wiosek zamykali się w domach, uszczelniając na wszelkie sposoby drzwi i okna. Wyczuwali, że nadchodzi jeziorny pomór. Unoszący się w powietrzu odór śniętych ryb był ponad wytrzymałość zwykłego śmiertelnika.

Iza też wiedziała o tym wszystkim, ale w tej chwili niewiele ją to obchodziło. Jezero już dawno nie wydawało się jej tak piękne. Wschodząca tarcza słońca odbijała się cudnie w tafli wody, a wokół było tak cicho i spokojnie.

Już od dwóch godzin podziwiała tę malowniczą okolicę i nic nie wskazywało, by miała wkrótce stąd odejść. Była z tym miejscem mocno związana, głównie za sprawą solidnego, białego w ziemię pala i uplecionego przez najlepszych majstrów sznura.

Tkwiała tu na rozkaz króla, a cała sprawa przedstawiała się mniej więcej tak: Jakiś czas temu król poślubił księżniczkę Żwirenę. Władali sobie razem państwem w najlepsze, gdy kraj zaczął nawiedzać smok. Nie jakiś tam smoczy wymoczek, ale prawdziwa, nie znająca lęku i litości bestia. Otóż pojawiał się on niemal codziennie na królewskich włościach i nękał monarchę oraz poddanych, wybierając co smakowitsze kąski, a czego nie chciało mu się wybierać, niszczył. Jego pastwą padały plony i bydło. Palił ogniem stodoły, tratował chaty. Rozwalił nawet jedyną w okolicy karcznię oraz zrównał z ziemią królewski browar. Kiedy do królewskich uszu dotarła wieść o barbarzyństwie potwora, władca niezwłocznie zajął się tym palącym problemem. Niezwłocznie, to znaczy zaraz, kiedy tylko doniesiono mu o stracie karczmy i browaru.

– Ta kreatura wykrwawia i wyniszcza nasz lud! – zakrzyknął. – Trzeba temu zaradzić.

Zwołał więc na radę swoich najmędrszych oraz najodważniejszych rycerzy. Jednomyślnie uradzono, że nie może być zgody na to, by smok bezkarnie atakował królestwo i niszczył dobytek poddanych. Że trzeba mu dać srogą nauczkę, ale rozwiązanie siłowe to ostateczność. Na drastyczne działania przyjdzie czas, jeśli zawiodą metody pokojowe. Uznano, że nie należy go drażnić. Raczej podjąć próbę jego ucywilizowania, przyjąć jak przyjaciela i wystawnie ugościć.

Od tysięcy lat powszechnie wiadomo, że smoka najłatwiej ułagodzić przygotowując mu coś, co uraczy jego podniebienie i zapełni brzuszysko. Znaczący tematu twierdzą, że nie ma to jak świeże mięso – soczyste, delikatne i nie za tłuste. Oczywiście sama potrawa musi wyglądać smakowicie. Okazało się, że wszystkie powyższe przymioty takiej smoczej stawy doskonale spełnia Iza. Ubrano ją w śliczną, przewiewną sukienkę i przedstawiono królowi, a

ten przyjrząwszy się jej orzekł, że faktycznie taka Iza to jest właśnie to, co smoki lubią najbardziej.

Dziewczyźnie powiedziano, iż została wybrana do zaszczytnej misji poświęcenia się za króla, królestwo i całą wspólnotę, oraz że lud nie może poznać całej prawdy o jej poświęceniu, żeby się jej losem zanadto nie przejął.

– Ludzie mają dość swoich zmartwień – stwierdził monarcha – a ja po to jestem królem, żeby chronić lud i aby mu służyć.

Obwieszczono więc, że Iza jest wiedźmą, za przyczyną której smocze monstrum nawiedza ziemię królestwa. Dlatego sprawiedliwy i dobry król, mimo swej znanej powszechnie łaskawości, musiał dla dobra ludu skazać ją na śmierć w smoczej paszczy, ufając, że zadowoli tym smoka i opuści on na zawsze ich krainę.

W efekcie przywiązana do pala miała czekać, aż poczwara raczy się pojawić i ją ze smakiem skosztować. Dodajmy, że czekała w całkowitej samotności. Dziwnym trafem nikt z poddanych nie chciał dotrzymać jej towarzystwa, a sam król niestety nie mógł. Miał ważniejsze obowiązki – jak to król. Jednak przed odjazdem nie poskąpił jej słów otuchy.

– Będziemy cię, Izo Belko, miło wspominać – rzekł. – Ty zaś stań się godna naszej pamięci i uczyni wszystko, co w twojej mocy, aby smoka ukontentować. – Po czym zwrócił się do swoich rycerzy. – Przed nami daleka droga! Ruszajmy! Co tam wołacie? Że do zamku w przeciwną stronę? Przecież wiem, chciałem jeszcze tylko rzucić okiem na wodę! – to mówiąc przejechał jeszcze kilka kroków, po czym zawrócił konia i krzyknął do dziewczyny. – Żegnaj, Izo Belko i spraw się dobrze!

Iza w rzeczywistości nie nazywała się bynajmniej Izabela czy Izolda. Rodzice nadali jej imię Izolacja. Można zatem powiedzieć, że już od samego początku los jej nie rozpieszczał.

Ale król też nie miał lekko – nazywał się Russ Kij.

Iza względnie szybko pogodziła się z losem, bo doskonale wiedziała, że kiedy Russ podjął decyzję, to ani jej płacz, ani prośby niczego już nie zmieniają. Jej położenie nie było lekkie, łatwe i przyjemne, zwłaszcza, że sznury krępowały jej ręce, a drewniany pał uwierał w plecy. Nogi też zaczynały już boleć, a tu ani usiąść, ani się położyć. Mimo to uznała, że skoro nie może niczego zmienić, to nie ma co dodatkowo się dołować. Już niedługo jej problemy się skończą. Rozchyłą się zarośla i wyjdzie z nich straszliwy potwór.

Smutne przewidywania dziewczyny zdawały się potwierdzać. Od strony lasu dobiegły dziwne odgłosy i krzaki złowieszczo się zatrzęsły. „A więc to już” – pomyślała i wtedy chaszczę się rozchyliły, a jej serce zaczęło bić jak oszalałe.

Tymczasem nie był to smok, lecz rycerz na koniu wyglądający równie groźnie i nieprzewidywalnie. Był dostojnie odziany, w kolczudze na piersiach, hełmie na głowie i z mieczem u pasa. Ujrząwszy Izę, zatrzymał się. Z pala i sznurów wydedukował, że ma kłopoty. Ruszył więc ku niej śpiesznie. Podjechał, wykonał serię popisów świadczących o jego jeździeckim kunszcie, po czym osadził konia i wylądował u jej nóg. Zaraz jednak wstał, otrzepał się i rozmasował bolące kości.

– Myślałam, że to smok – odezwała się przestraszona Iza.

Rozejrzał się czujnie na wszystkie strony, po czy dwornie się odezwał.

– Tu nie ma smoka, to tylko mój koń i ja. – Ukłonił się z wdziękiem. – Nie lękaj się, pani! Albowiem przybywam, by... przybywam... ehhrmm... – zastanowił się. – Jeszcze przed chwilą wiedziałem! Wybacz, to wszystko przez mego konia. A mam taką efektowną kwestię na wejście, gdy ratuję z opresji cne damy.

– Wybaczam! – rzuciła szybko. – Kim jesteś?

– Rycerzem. – Ponownie się skłonił. – Kawaler de Ba Jarz!

„Nazwisko do bani” – pomyślała sobie. – „Dobrze, że chociaż kawaler.”

– Mnie też nie nazywają Izolda, więc znam ten ból. Ale mów mi, kawalerze, „Iza”.

– Iza – powtórzył. – Tak do ciebie mówić? Nie wiem, czy zapamiętam. To konieczne?

– Nie, niekonieczne. Może być Gertruda, Kunegunda albo nawet, niech stracę, Kazimierz. Wszystko jest lepsze niż „Izolacja” i tylko to jedno musisz zapamiętać. A tak poza tym... czy... mógłbyś mnie uwolnić? Marzyłam wprawdzie o rycerzu na białym rumaku... Ale nie będę wybrzydzać. Twój koń jest taki bardziej... jakby brudnoszary?

– Przejeżdżałem przez tereny przemysłowe – usprawiedliwił się de Ba Jarz – a stan umaszczenia konia nie przeszkodzi mi w ocaleniu cię! – Rycerz wyciągnął swój, nieco wprawdzie przykrótki, lecz za to mocno sfatygowany i nadgryziony upływem czasu miecz. – Oto mój oręż, który zwę... zwę go... Jeszcze wczoraj byłem pewien, że pamiętam.

– Może potem mi powiesz.

– Nie! Już sobie przypominałem. Miecz mój sieje postrach wśród wrogów, lękających się o swe dłonie i stopy, gdyż oręż ten dla tych właśnie części ciała jest najbardziej bezlitosny! Dlatego też zwę go „Postrachem kończyn”! – wyjaśnił i roześmiał się wesoło. Jego śmiech nie trwał jednak długo, bo miecz wyslizgnął mu się z ręki i upadł na nogę. – Auuc!!!

– Teraz rozumiem – rzekła Iza, gdy rycerz rozcierał swoją obolałą stopę. – Słuchaj, możesz przeciąć te więzy?

– Naturalnie! – zapewnił ją. – Miecz mój doskonale się do tego nada, albowiem wszędzie, gdzie tylko się pojawi, tnie i sieje spustoszenie! Jest śmiertcionośny, budzący trwogę i złowieszczy!

– Tak? Śmiertcionośny i budzący trwogę? – Iza z niedowierzaniem spojrzała na stare żelastwo.

– I złowieszczy! – Dodał z naciskiem rycerz, wykonując demonstracyjne cięcie. Powietrze rozdarło się na dwoje, zaś ostrze złowieszczo odpadło od rękojeści. – A niech to! Jeszcze wczoraj się trzymało! Ale widziałaś, co zrobiłem z powietrzem?

– Tak, to było coś...

– No! I pierwszy raz mi tak daleko poszybowało. – Rycerz dumnie wracał z klingą próbując połączyć ją z rękojeścią.

– Kawalerze! – rzekła Iza, z lekkim zniecierpliwieniem obserwując, jak usiłuje poskładać swoją broń. – Jestem ci wdzięczna, że zabawiasz mnie rozmową i demonstracją twych umiejętności... W życiu się tak dobrze nie bawiłam! Ale nie sądzisz, że powinienes mnie wpierw uwolnić?

– Naturalnie. – De Ba Jarz odłożył części miecza i wyciągnął nóż. – Czy wspominałem ci już, że świetnie posługuję się też sztyletem? Zaraz ci to zademonstruję.

Iza wzniosła oczy ku niebu w geście niemej rozpaczy.

– Widzisz tamto drzewo? – spytał.

– Tylko kątem oka. Może gdybym nie była związana...

– Patrz więc uważnie. – Zdawał się puszczać wszystkie jej słowa mimo uszu. – Zaraz będzie tkwił w nim mój sztylet!

Zamachnął się. I oto sztylet, który jeszcze przed chwilą znajdował się w jego ręku, tkwił tam nadal.

– Szalowe – sarknęła.

De Ba Jarz spojrzał z zaskoczeniem na sztylet, który zaplątał się w rękaw kaftana.

– O! – zawołał. – Jeszcze tu jest!

Spojrzał zdziwiony, po czym znowu się roześmiał.

– No oczywiście, że jest – powiedział. – Po co miałbym nim rzucać? Przecież wyciągnąłem go po to, by przeciąć twoje więzy.

– To cudownie – mruknęła Iza. – Byłabym ci naprawdę wdzięczna.

– To naturalne – stwierdził rycerz. – Po to właśnie wykonuję swoją pracę. Wdzięczność ratowanych przeze mnie niewiast jest dla mnie najważniejsza. A trzeba przyznać, że potrafią tę wdzięczność okazać. Księżniczki, na przykład, te są wyjątkowo hojne. Gotowe są darować mi w podziękę nawet dwadzieścia złotych monet. Naturalnie w grę wchodzi jedynie waluta

naszego państwa i tylko w gotówce – dodał na wszelki wypadek. – To nie jest jakaś wygórowana suma i myślę, że wręcz dobre maniery nakazują im ofiarować mi je w podzięcie.

– Ja nie jestem księżniczką – poinformowała go – więc nie spodziewaj się złota.

– Oczywiście, oczywiście! Niczego nie usiłowałem sugerować. Bez obaw! Uwolnię cię, zanim zdążysz powiedzieć: „Jestem wolna”.

Istotnie, nie zdążyła tak powiedzieć. Zdążyła jednak: „Co tak długo?”, „Zaraz zapuszczę tu korzenie”, a ze dwa razy nawet: „Nie chcę cię poganiać, ale... szybciej!”. Przecinanie więzów dołączyło do listy umiejętności, w których rycerz nie był najlepszy, ale w końcu się z tym uporał.

– Widzisz? – rzekł z satysfakcją. – Jesteś wolna. Ale nie musisz mi dziękować.

– A już zamierzałam rzucić ci się na szyję – powiedziała tonem, z którego można było wnioskować, że tak naprawdę była to ostatnia rzecz, o jakiej mogła pomyśleć. – Chwała Bogu, że zdążyłeś przed smokiem.

– Z tym smokiem to na poważnie? – spytał.

– Przecież nie siliłabym się na tak kiepskie żarty.

– No to zbierajmy się stąd. – Rycerz nagle zaczął ruszać się szybciej. – Do tego rzucania się na szyję możemy ewentualnie wrócić później.

– Co? – Podejrzewała, że uległa jakiemuś złudzeniu słuchowemu. – Chcesz stąd odejść? Przecież zaraz będzie tu smok!

De Ba Jarz wyglądał na zdziwionego.

– No właśnie, dlatego lepiej się pospieszyć.

– Chcesz uciekać? Chyba powinieneś stanąć do walki – przypomniała uprzejmie.

– Nie, nie sądzę. – Pobłażliwym uśmiechem usiłował jej dać do zrozumienia, że nie ma racji.

– Wszyscy rycerze walczą ze smokami – zauważyła. – No wiesz, to czyni ich bohaterami. Nie uciekają. Walczą!

– No, niby tak... – przyznał niechętnie. – Ja też stanąłbym do walki, ale miecz mi się posypał, a poza tym wcale nie mówię o ucieczce, tylko o taktycznej ewakuacji.

– Czyli nie będziesz walczył? To wynośmy się stąd.

Ledwie jednak wymówiła te słowa, gdy w pobliżu głośno zabulgotało. Na powierzchni jeziora pojawiły się fale. Nagle z wody wynurzył się wielki miecz. Zaraz za nim zjawiała się okryta łuskami łapa smoka, dzierżącego ów miecz. Potem zaczęła się wynurzać cała jego reszta. Budzący grozę, przyozdobiony rogami łeb z wielką, opatrzoną zębiskami paszczą. Z obu otworów nosowych buchał gęsty dym. Za łbem wyłonił się pokryty łuskami wielobarwny korpus uwieńczony w górnej części rogowatymi naroślami, wzdłuż którego rozciągały się olbrzymie skrzydła. Kiedy wychodził z wody, jego potężne łapy tworzyły w niej brudnozielone, tryskające pianą wiry. Potwór stanął na brzegu i przeraźliwie zaryczał:

– Strzeżcie się, śmiertelnicy, albowiem jam jest Pandragon, Smok z Jeziora, Władca Smoków, Postrach Śmiertelnych, Nienazwana Groza, Paszcza Przeznaczenia, Pogromca Niepokonanych i Niszczyciel Królewskiego Browaru!

– No dobrze, i co w związku z tym? – Iza była smokiem tak zafascynowana, że nawet nie zdziwiła się, iż mówi on ludzkim głosem. Na dodatek przemawiał w jej języku, a więc musiał być swój.

Jej zachowanie tak go zaskoczyło, że na moment stracił rezon. Żaden człowiek na jego widok tak się dotychczas nie zachowywał. Ucieczka, krzyk, czasem krótkie, rzeczowe wypowiedzi w stylu: „Aaaaaa”, lub „A niech mnie! Potwór z mieczem!”, „Uciekajmy”, czy „Ratuj się kto może” – to i owszem. Bywało, że ktoś na jego widok pukał się w głowę i wygłaszał monolog w stylu – „A mówili mi, że jak na jeden raz, dwanaście kufla to stanowczo za dużo”. Ale, żeby do Króla Smoków ktoś odważył się odezwać w taki sposób?

„Co jest?” – pomyślał. „Ona się mnie wcale nie boi. Jest na dopalaczach, czy rozum jej odjęło?”

By zyskać na czasie, podszedł bliżej i zaryczał jeszcze raz.

– Nędzne ludzkie poczwarki, zaraz z wami skończę! Pokaż się, bohaterze! Chyba się mnie nie boisz? Mężny rycerzu, wyjdź z ukrycia. Wiem, że jesteś blisko!

Pandragon był jednak w błędzie, bowiem w pobliżu nie było już ani de Ba Jarza, ani jego konia. Zresztą, gdzie podział się koń, tego nie wiedział nawet jego pan.

Iza stała zaś naprzeciw bestii, kręcąc nosem.

– Ależ ty cuchniesz! – krzyknęła. – Czy wy smoki nie wiecie, co to kąpiel w czystej wodzie?

– Prawie cały czas przebywam w głębinach jeziora i dopiero co wyszedłem z wody – odezwał się zbity z tropu. – To przecież tak, jakbym stale się kąpał.

– Wychodzisz z tego szamba i mówisz mi, że dopiero co wzięłeś kąpiel? Nawet smok powinien wiedzieć, że do kąpeli potrzeba czystej wody. A ty podobno jesteś Królem Smoków.

W potworze aż się zagotowało. Odwrócił łeb w stronę jeziora i plunął ogniem. Teraz gotowało się już w jeziorze. Znowu odwrócił się do dziewczyny i ryknął.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie w taki sposób?!

– Jeśli chcesz, żebym ci kłamała, to nie ma sprawy – mruknęła.

Wpatrywał się w nią oczyma wielkimi jak talerze. Jakby chciał ją prześwietlić na wylot. Ona zaś hardo wpatrywała się w te talerze i zaczęło do niej coraz bardziej docierać, że jest głodna. Jednak stłamsiła to uczucie i przywołała na usta jeden ze swoich najpiękniejszych uśmiechów, co najwyraźniej smokowi się spodobało.

– Podobasz mi się – rzekł już nieco spokojniejszym i mniej groźnym głosem. – Wolę, żebyś mówiła prawdę. Po co tu przyszlście?

– Ja musiałam, tak zdecydował król. A mój towarzysz przybył, by mnie ratować.

– Ratować? Przed kim? – ryknął znowu.

– No przecież, że przed tobą – odparła.

– Przede mną? On? – Tym razem smok ryknął gromkim śmiechem i aż sam się zdziwił, że tak potrafi. To było zupełnie nowe przeżycie, ale sprawiło mu autentyczną przyjemność.

– Czy to takie śmieszne, że ktoś chce mnie bronić przed tobą, wiedząc jak jesteś okrutny? I że nie chce abyś mnie pożarł?

Smok przestał się śmiać. Wyglądał na zdziwionego.

– Ale ja nie cierpię ludzi.

– No o tym właśnie mówię.

– Nie cierpię, bo mi szkodzą. Mój organizm takiego żarcia zupełnie nie toleruje. Inaczej mówiąc, kiedy kogoś przypadkiem pożrę, to przez kilka dni mam refluks i nawet żłopanie hektolitrami wody z jeziora nie pomaga mi zobojętnić kwasów żołądkowych. Choć podobno w tej wodzie jest sporo wapna i różnych innych minerałów.

– Tfu!!! Pijesz to świństwo?

– A co mam pić, przecież w karczmie ani królewskim browarze mnie nie napoją. Zresztą nie macie już ani karczmy ani browaru.

– No widzisz, wszystko niszczysz, a potem tacy jak ja muszą przez to cierpieć.

– Nie wiedziałem, że przez to cierpicie. Zresztą Król Smoków nie może się przejmować takimi drobnostkami, jak cierpienia małych ludzików, których ledwie dostrzega szybując pod niebem – rzekł z godnością.

– A niby dlaczego nie może? Czy ktoś Królowi Smoków tego zabronił?

Pandragon zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Jesteś nie tylko ładna, ale i niegłupia. Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego król Russ Kij przysłał właśnie ciebie. Miałaś namieszać mi w głowie i prawie ci się udało.

– Namieszać ci w głowie? Ty naprawdę masz poczucie humoru. Jeśli tak źle trawisz ludzi, to raczej miałam ci zrobić rewolucję w żołądku. Nie rozumiesz, że król Russ zostawił mnie tutaj, abyś mnie pożarł?! – krzyknęła.

Talerze smoczych oczu znowu dłuższą chwilę wpatrywały się w dziewczynę. Po chwili ich ostrość jakby zelżała i smok przemówił.

– Opowiedz mi wszystko o tym, co się tu stało.

Kiedy opowiadała potworowi koleje swojego losu, de Ba Jarz widząc, że smok jej nie pożarł, nabrał nieco odwagi i zaczął powoli przesuwając się w ich stronę. Chował się za głazami, drzewami, czołgał przez zagłębienia terenu. Kiedy wyrzwał z krzaków, zobaczył że Iza i smok nadal ze sobą rozmawiają. To go ośmieliło i podkraść się jeszcze bliżej. Zatrzymał się i ukrył za sporym kamieniem, kilkanaście kroków od nich.

– No wyjdź już, rycerzu, z tej kryjówki i zbliż się do nas – ryknął Pandragon.

Ale de Ba Jarz udawał, że to nie do niego ten ryk.

– Wiem, że jesteś za tym omszałym kamieniem. – Smok niczego nie ryzykował, bo wszystkie kamienie wokół jeziora były omszałe. – Wychodź, nie bój się, nic złego ci nie zrobię.

– Ja? – Rycerz wychylił głowę zza kamienia.

– A jest tam ktoś jeszcze? – zapytał smok.

Kawaler rozglądając się wokół.

– Chyba tylko mój koń, ale nie wiem gdzie. Strasznie się spietrał.

– Nie jestem głodny, więc poradzimy sobie bez konia – odparł smok.

Rycerz podszedł bliżej, zatrzymał się obok Izy i kilka razy ukłonił smokowi.

– Widzę, że to jakiś grzeczny kawaler – odezwał się tenże. – Może przyda mi się i twoja pomoc. Jeśli zależy wam na tym, by w kraju zapanował spokój, to musicie się w to zaangażować. Wasza misja nie będzie specjalnie skomplikowana. Udacie się do króla i zażądacie w moim imieniu, aby oddał mi mój smoczy pierścień, który znalazł się przypadkiem w jego rękach. Gdy mi go zwróci, przestanę nękać wasz kraj.

– Skąd król go wziął?

– Wszystkiemu winna właśnie moja kąpiel w czystej wodzie. – Smok spojrział z wyrzutem na Izę. – Jakiś czas temu, w piękny, słoneczny i ciepły dzień poleciałem do Doliny Trzech Wodospadów, aby pod tym największym z nich wziąć prysznic. Przed wejściem do wody zdjąłem z palca smoczy pierścień i położyłem go obok, na dużym kamieniu. Pech chciał, że kiedy się kąpałem, przejeżdżał tamtędy król z narzeczoną i swoimi dworzanami. Nie chciałem im płoszyć koni, więc schowałem się za zasłonę z wód, a kiedy wyszedłem, pierścienia już nie było. Jakiś czas czekałem, myśląc, że może się ktoś zreflektuje i mi go zwróci. A potem pojawiła się niewesoła refleksja, że żaden władca nie zwróci dobrowolnie tego, co wpadło mu w łapy. Wierzcie mi, wiem co mówię, bo sam jestem królem.

– Może Russ nie wiedział, że pierścień ma innego właściciela. Sam mówiłeś, że znalazł się u niego przypadkiem.

– Ludzie, myślcie! Russ to wasz król. Miałem wam powiedzieć, że to złodziej? Że ukradł mi pierścień? W kręgach władzy takich wyrażen się nie używa. Wiem, że podarował go swojej żonie.

– A czy mógłbyś nam jeszcze powiedzieć, jak ten pierścień wygląda?

– Jest ze złota, wysadzany niespotykanymi w tej krainie kamieniami, które w zależności od pory dnia zmieniają swój kolor. Rankiem są zielone, w południe żółte, a o zachodzie słońca czerwone.

– To ja coś takiego widziałam u królowej, tylko że to nie był pierścień, ale obręcz na biodra.

– Co? – zdziwił się smok. – Nie mów mi, że królowa nosi to na biodrach!

– Miałam nie kłamać.

– Ale to musi być mój pierścień! – ryknął potwór i spojrzął na swoje wielkie, zakończone pazurami palce. – Może mieć takie biodra? Grrr! To profanacja magicznego pierścienia.

– Ten pierścień jest aż tak ważny? – spytała Iza.

– Żartujesz?! On jest jedyny! To niebezpieczny artefakt! Potężny pierścień z odległych krain, zwany z cudzoziemska Świecidełkiem! Jam jest panem smoków! A ten pierścień jest oznaką mej władzy! To dzięki niemu smoki z całego świata przybywają na jedno moje wezwanie! Russ nie wie, na co się porywa. Myśli, że ktoś dlatego zostawił pierścień na kamieniu przy wodospadzie, aby on mógł sobie zrobić z niego prezent dla żony? Fakt, że jest cenny, inaczej bym go nie nosił. Ale ten artefakt go zniszczy! Ściągnie na niego zagładę! To nie jest zwykła obrączka na smoczy palec! Żeby go zdobyć trzeba było się nieźle natrudzić! Musiałem wypalić ogniem kilkanaście pieczar, podburzyć przeciwko sobie kilka smoczych plemion i pokonać mego poprzednika na smoczym tronie! To wszystko nie zrobiło się samo. A ten niegodziwiec ukradł mi to, co zdobyłem z takim trudem! – dodał z żalem.

– Wybacz, wasza smocza łaskawość, że się wtrącam w tę jakże istotną wymianę zdań, ale dlaczego sam nie odbierzesz Russowi swojego pierścienia? – ośmielił się zapytać de Ba Jarz.

– Z początku myślałem właśnie tak postąpić. Ale potem zrobiło mi się żal. Nie króla złodzieja, ale jego rycerzy i mieszkańców miasta. Czy pomyślałeś, rycerzu, ilu ludzi by zginęło, gdybym zaatakował królewski zamek? A pierścień? Zrobiłby się taki popłoch, że nie wiadomo nawet, czy gdzieś by się w tym całym rozgardiaszu nie zawieruszył. Tak przynajmniej nie tracę pierścienia z oczu. Ale my sobie tu gawędzimy, a czas płynie. Idźcie już po pierścień.

– Oczywiście, wasza smocza mość! – Kawaler giął się w ukłonach i nerwowo uśmiechał. – Czy mamy z nim potem zawędrować do jakiejś mrocznej, wyjąłowionej krainy i wrzucić go do wulkanu?

– Czyś ty zgłupiał? – zagrzmiął zniesmaczony smok. – Skąd przedostał ci się do tej pustej przestrzeni pod hełmem tak niedorzeczny pomysł?

– Wybacz mi, wasza smocza gromkość, ale gdzieś czytałem, że wrzucanie do wulkanu to najlepszy sposób postępowania z niebezpiecznymi pierścieniami władzy.

– Ludzie i ich pomysły! – prychnął smok z lekceważeniem. – Macie mi go przynieść i tyle!!! A teraz idźcie do króla Russa i powiedzcie mu, że Król Smoków będzie nękał jego kraj tak długo, aż nie odda mu Świecidełka! I niech nie próbuje dla ułagodzenia mego gniewu podsylać mi już żadnych niewinnych dziewcząt na przekąskę. Ludzie są okropni! Tak wrzeszczą, że tracę apetyt nawet na inne stawy niż oni! Poza tym, nie jestem ludożercą, chyba żeby Russ zechciał osobiście wystąpić w roli dania głównego. Jako Król mógłbym królowi ewentualnie wyświadczyć tę uprzejmość.

– Przekażemy twoje żądania i zrobimy, co tylko w naszej mocy, żeby zwrócił ci twój pierścień – obiecała Iza.

De Ba Jarz miał szczerą nadzieję, że sformułowanie „co w naszej mocy” jest synonimem określenia „nic” i że, kiedy tylko odejdą na bezpieczną odległość, będzie można dać dyla.

– Ruszajcie więc! – ryknął smok. – Będę miał na was oko.

„No i nici z dawania dyla” – pomyślał rycerz. „A już wychodziliśmy na prostą.”

*

Zmierzali w kierunku siedziby króla – słynnego zamku Warkstrong. Żeby było szybciej, wędrowali na skróty leśnymi ścieżkami. De Ba Jarz był ciekawym towarzyszem podróży. Wiele opowiadał o swoim męstwie, o bohaterskich czynach, których mógłby dokonać, i wspaniałych przygodach, które mógłby przeżyć.

Wędrowali już trzeci dzień, gdy nagle rozległ się donośny ryk i z koron drzew spadł na nich smok. Ten okaz był znacznie mniejszy niż Pandragon, ale było to znikomą pociechą dla wędrowców, których i tak mógłby zmieścić w swojej paszczy.

Stwór wypuścił w stronę Izy i jej towarzysza strumień ognia.

– O żeż! – zawołał rycerz i rzucił się na ziemię. W tym czasie Iza skoczyła w bok i schowała się za drzewem. Gdy de Ba Jarz próbował wstać, uderzyło w niego rozpędzone cielsko potwora. Zamroczonego rycerza poszybowało w powietrzu i upadł kilka metrów dalej na mchu. Kiedy otworzył oczy, ujrzał nad sobą rozwartą szeroko paszczę i przeszło mu przez głowę, że nawet w takim stanie mógłby wymyślić ze dwadzieścia lepszych zakończeń swojej wielkiej przygody niż to, które za chwilę go czeka.

W tym momencie jednak stwór zaskomlił jak zbity psiak, a już w następnej chwili coś potężnie szarpnęło go do tyłu. Rycerz podniósł się z ziemi i ujrzał Pandragona, zaciskającego łapę na ogonie mniejszego smoka.

– Pendraq! – zagrzmiął Król Smoków.

Drugi stwór aż się skulił z przestachu.

– Co robisz na moim terenie?! – rzekł groźnie władca. – Mówiłem, że jak jeszcze raz cię tu zobaczę...

– To przez pomyłkę! – zapewnił szybko Pendraq. – Zabłądziłem! Te wszystkie lasy są teraz takie podobne...

– Ach, zabłądziłeś. A spopielić tych dwojga wędrowców też nie zamierzałeś?

Pendraq uciekł wzrokiem gdzieś w bok.

– Siła starych przyzwyczajęń, Wasza Wysokość – rzekł potulnie.

– Miałeś przecież rzucić palenie – przypomniał Pandragon.

– Tylko ograniczyć – sprostował mniejszy smok. – Kiedyś wypalałem dwie wioski dziennie, a teraz już tylko okazyjnie pozwalam sobie na mały dymek.

– U mnie nie wolno ci palić! – warknął Król Smoków. – A tych dwoje jest pod moją osobistą opieką, rozumiesz?!

Pendraq cały zadrżał.

– To się już nie powtórzy! – zapewnił.

Pandragon zdjął łapę z jego ogona.

– No myślę – wycedził przez zęby. – Fruń stąd, zanim się rozmyślę.

Pendraq szybciotko rozwinął skrzydła i już po chwili nie było po nim nawet śladu.

De Ba Jarz szturchnął lekko Izę, jakby chcąc dać jej do zrozumienia, że może warto by coś powiedzieć.

– Dzięki ci, Królu Smoków, za ratunek – rzekła.

– Nie czas na grzeczności – popędził ich. – Po prostu róbcie swoje.

Już po chwili był tylko małą plamką na niebie.

– Nawet się nie pożegnał – mruknął de Ba Jarz.

– To było... dziwne – wymamrotała Iza. – Całe to zajście. Takie krótkie i niepotrzebne.

– Tak – przyznał rycerz. – Losowe zdarzenie podczas podróży, które z całą pewnością nie będzie mieć żadnego znaczenia w dalszym ciągu naszej przygody. Myślę, że po prostu powinniśmy przejść nad tym do porządku dziennego.

Iza wzruszyła obojętnie ramionami.

– No dobra – rzekła. – Wszystko jedno.

Ruszyli w dalszą drogę.

– Wiesz, boję się czy podołamy naszej misji. Dla mnie już sama wędrówka jest ciężka, a jeszcze ta poczwara mnie tak wystraszyła. Nie wiem, czy dojdę do Warkstrongu – westchnęła i zamysliła się.

– Oczywiście, że dojdiesz – rzekł pocieszająco jej towarzysz, utykając na jedną nogę. – Sprawujesz się i tak dużo lepiej niż można by przypuszczać. Nie jesteś jak te delikatne damy, z którymi zwykle mam do czynienia. Takie, co to zamartwiają się tylko, że zniszczyły sobie fryzurę albo ubłocily suknię. Ty jesteś inna, twarda i mężna.

Iza nie odpowiedziała. Nie docierało do niej co mówi, bo martwiła się tym, że ubłocila sobie suknię, jest brudna i że włosów nie ma nawet czym uczesać.

*

Król Russ zmierzał w stronę dziedzińca zamkowego, gdzie przygotowywano właśnie pomnik na jego cześć. Prowadził przy tym pogawędkę ze swą żoną.

– Doprawdy, wieśniacy to jednak ciemnogród – stwierdził. – Od razu uwierzyli, że ta cała Iza Belka jest wiedźmą. Smok powinien być zadowolony. Zauważyłaś pewnie, że od tego czasu przestał nachodzić nasze ziemie. Miałem z tą wieśniaczką znakomity pomysł.

– Ale, mój mężu, czy nie byłeś dla niej zbyt okrutny? – spytała Żwirena.

– Okrutny? – zdziwił się król. – Mogłem ją przecież posiekać na kawałeczki i dostarczyć smokowi w pudełku. Okazałem się wspaniałomyślny i zrezygnowałem z tego efektownego pomysłu.

Żwirenę przeszedł dreszcz. Jej mąż był bezlitosny. Właśnie to w nim najbardziej lubiła.

Gdy dotarli przed pomnik, król zmierzył wzrokiem kłaniającego się i drżącego z przejęcia rzeźbiarza. Następnie raz jeszcze rzucił okiem na swój posąg. Było widać, że nie jest zachwycony.

– Coś ty ze mną zrobił?! – warknął na rzeźbiarza.

– Wy... wyrzeźbiłem, wasza imperatorskość! – wyjąkał rzeźbiarz. Nie wiedział, co oznacza to słowo, ale był przekonany, że brzmiało dostojnie i było pełne szacunku.

– Obiecywałeś, że pokażesz światu całą moją wielkość.

– I pokazałem, wasza najwyższa wysokość. Posąg ma ponad sześć metrów.

– Ale on zupełnie nie oddaje szlachetności mojej królewskiej osoby! Popatrz na tę twarz! – zawołał gniewnie Russ, jednym okiem spoglądając na rzeźbę, a drugim na swoją żonę. – Czy ja mam zeza?!

– Nnnie, skądże, o jaśnie oświecona iluminacjo! – zaprzeczył artysta.

Król wnikliwie badał rzeźbę.

– Czy tak ma wyglądać moja wspaniałość?! – spytał z nieskrywaną irytacją. – Czy ja jestem łysy? – Zdjął koronę i pokazał włosy. – Przyznasz, że moje włosy dodają mi elegancji i warte są uwiecznienia na pomniku?

– Tak, najwspanialszy Adonisie naszego narodu! Są warte! Uwiecznię zaraz wszystkie i jeśli wyrazisz zgodę, jeszcze kilka dorobię.

– A ta drobinka z lewej strony nosa? Co to ma być? – zaciekawiał się król.

– Aaa... To... To przemożna bbbbrodawka. Nie mogłem jej pominąć, bo dodaje ci panie niezwykłego uroku.

– Wyrzeźbiłeś mi taką brodawkę?! – wrzasnął rozwścieczony monarcha. – Przecież moja przemożna królewska brodawka jest znacznie okazalsza!

– Jeszcze ją podrasuję, nieskończona inteligencjo!

– Natychmiast wprowadź poprawki. Posąg ma być gotowy na jutro.

– Będzie, wasza apodyktyczność!

– A jeśli mnie nie zadowolisz, to skończysz w lochu. A chyba wiesz, czym tam karmią – dodał król z mściwym uśmiechem.

– Zlituj się panie – wykrzyknął biedak z rozpaczą. – Tylko nie rybia ikra i trufle!

– Nie prosz mnie o litość. Wszystko jest w twoich rękach – rzekł bezlitośnie Russ.

Wtem na plac zamkowy wpadł sługa.

– Panie! – zawołał. – Posłańcy proszą o posłuchanie!

– Odpraw ich! Jestem zajęty – rozkazał władca.

– Jak każesz panie, ale ośmielę się dodać, że chodzi o bardzo ważną sprawę dla Waszej Miłości.

– Dla naszej miłości, powiadasz? To nie strzęp języka, tylko ich wprowadź, ofermo! – obruszył się król.

Po chwili przed jego obliczem stanęli Iza i jej towarzysz.

– Czego chcecie?! Czemuż zakłóćacie mi... – warknął Russ, lecz umilkł, rozpoznawszy w Izie dziewczynę, którą skazał na los smoczej przekąski. – Khm! Skąd... Jak to... W jaki sposób...

– Zdziwiłeś się panie, że żyję? Przecież jestem wiedźmą. Zaczarowałam Króla Smoków z jeziora – rzekła niedbale Iza. – Teraz zaś przybywamy do ciebie jako jego posłańcy.

Russ zbladł. Zaraz jednak wrócił mu tupet.

– Król Smoków z jeziora?! – Zaśmiał się. – Też mi jezioro. Toż to jeno taki większy staw! Czego to monstrum chce?

Iza szturchnęła de Ba Jarza.

– O co chodzi? – spytał zdziwiony.

– Powiedziałałam już swoją kwestię – szepnęła. – Twoja kolej.

– Owszem – rzekł rycerz. – Albowiem wielce...

Russ spiorunował go spojrzeniem.

– Mów mniej kwieciście, ale z większym sensem – nakazał.

– Otóż, Król Smoków ostrzega, że jeśli nie dasz mu pierścienia, nie przestanie nękać twego państwa – wyjaśnił de Ba Jarz.

– A czemuż miałbym mu dawać pierścień?! – odparł zdziwiony monarcha. – To bezczelny jaszczur! Niech sobie sam znajdzie albo zapracuje.

Iza groźnie zmarszczyła brwi.

– Jeżeli Wasza Wysokość nie da mu tego, czego żąda, to on obróci nasz kraj w perzynę – zauważyła.

Król westchnął. Choć trudno mu było to przyznać, wiedział, że dziewczyna ma rację.

– No cóż – rzekł. – Proszę bardzo! Jeżeli smok tak bardzo nalega... – Tu sięgnął z palca jeden z mniej cennych sygnetów. – Dajcie mu ten. Nie będę oszczędzał na bezpieczeństwie poddanych.

– Nie, nie. Źle nas, panie, zrozumiałeś. Chodzi o ten pierścień, który pochodzi z Doliny Trzech Wodospadów.

– Z doliny?! – zdziwił się Russ. – Nie mam takiego.

– A ten, który Wasza Wysokość podarował królowej? – przypomniała Iza.

– To żaden pierścień! – Król roześmiał się i wskazał na rękę Żwireny. – To bransoleta! Kiedyś nawet była to zdobna obręcz na biodra, ale w jakiś tajemniczy sposób się zmniejszyła.

– Tak. – Królowa w zadumie spojrzała na swoje zaokrąglone kształty. – Pewnie to smocza magia.

– To właśnie jest pierścień, pozwalający władać smokami! – zawołała gniewnie Iza. – I trzeba...

– Pozwala władać smokami? – powtórzył zaciekawiony król. – Jesteś tego pewna?

– ...trzeba mu go...

– Pytałem, czy jesteś tego pewna?

– ...oddać niezwłocznie... Co?

Ale król już nie chciał odpowiedzi. Teraz myślał tylko o władzy.

– Władza nad smokami! – Roześmiał się upiornie. – Dziękuję wam, żeście przynieśli mi tę wieść! A ja myślałam, że to zwykłe świcidelko. Cha, cha! Władza nad smokami! Ten, komu służą smoki, może podbić każde państwo i nie musi się niczego obawiać! A dzięki temu pierścieniowi, smoki będą służyć mnie!

– A Pandragon?

– A pan smok, jako smok, też będzie mi służył. Teraz rozumiem dlaczego mu tak na tym zależało. Ten pierścień daję władzę.

- Ale on jest niebezpieczny! – zawołała Iza.
- Wiem, ja też – zaśmiał się ponownie Russ. – Ale jestem też łaskawy, dlatego każę was tylko wtrącić do lochu.
- Czy to warto, mój mężu, zawracać sobie nimi głowę? – wtrąciła się żona. – Skoro są posłańcami Króla Smoków, to niech on ich rozliczy ze zleconej im misji.
- O tym nie pomyślałem, ale masz rację. Niech się dowie, że teraz to ja jestem władcą smoków.
- Wasza królewska mość. – Iza próbowała jeszcze raz przekonać króla. – Ten pierścień...
- Jest mój! – krzyknął król. – Wynście się, dopóki jeszcze pozwalam wam odejść!

*

Byli już daleko poza miastem, ale wciąż prześladowała ich myśl, że zawiedli. Że poszło zupełnie nie tak, jak to sobie ułożyli. Nie docenili królewskiej żądzы władzy i dlatego wracają teraz z pustymi rękami.

- Wracacie z pustymi rękami – z tyłu doleciał ich chrapliwy głos.
- Odwrócili się powoli. Najbardziej nie chcieli w tej chwili oglądać Pandragona i pewnie dlatego właśnie jego zobaczyli. Stał, puszczał nosem obręcze z dymu i wpatrywał się w nich wzrokiem, w którym czaiło się niezdecydowanie – rozszarpać oboje, czy wystarczy jedno. Stał tak i nie potrafił się zdecydować. W końcu ponownie przemówił.
- Zawiedliście mnie! – ryknął. – Powierzyłem wam prostą misję, a wy tylko pogorszyliście sprawę!
- Robiliśmy, co w naszej mocy – usprawiedliwiał się de Ba Jarz. – Dobre chęci też się liczą.
- Właśnie – przyznała Iza. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że Russ ma taką żądzę władzy? Że przy pomocy Świecidełka zechce zapanować nad światem?
- Chyba rozumiecie, że nie czuję się z tym komfortowo. Mam chęć kogoś pożreć, ale nie potrafię się zdecydować, od którego z was zacząć – powiedział Pandragon.
- Odwrócił się, podniósł łeb, rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze.
- Groch się rozsypał i teraz już toczy się bez naszego udziału. – westchnął de Ba Jarz. – Zawaliliśmy sprawę i zginie wielu ludzi.
- Iza zamyśliła się.
- Nie możemy na to pozwolić.

*

Minął szmat czasu, choć są i tacy, którzy twierdzą, że zaledwie chwila. Król Russ Kij ruszył ze swoim wojskiem na podbój świata. Monarcha bardzo się z tego faktu cieszył, świat jakby trochę mniej.

Russ na początek zamierzał podbić Państwo Sąsiednie. Jego armia wdarła się bezczelnie na terytorium sąsiada i rozbiła obóz. Król nie mógł się już doczekać chwili, kiedy pojawi się wojsko przeciwnika, by stanąć do walki.

„Nie musimy nawet walczyć” – pomyślał. „Zrobią to za nas smoki.”

Spojrzał na leżące w zasięgu ręki Świecidełko.

„Wszystkie smoki pod moją komendą.” Ta myśl niezmiernie go radowała. Odszukał w starych księgach odpowiednie zaklęcie, pozwalające wezwać smoki za pomocą pierścienia. Żwirena nie protestowała, kiedy go jej odebrał. Nie czuła żalu – na biodra nie dawał już się założyć, a jako bransoletka na rękę był za ciężki i spadał.

Wreszcie nadszedł dzień próby. Królowi doniesiono, że w oddali dostrzeżono jakieś rycerskie hufce. Ponieważ rycerze króla przebywali w obozie, stało się oczywiste, że to wojsko przeciwnika. Król chodził podekscytowany po namiocie, a po głowie kołatała mu wciąż ta sama myśl. „To już dzisiaj. Już dzisiaj użyję pierścienia i pokażę światu swoją moc.”

Krótko po śniadaniu jeden z żołnierzy zawiadomił władcę:

– Panie, przybyło poselstwo Państwa Sąsiedniego!

– Niech wejdą – rzekł Russ niechętnie.

Nie chciało mu się z nimi gadać, ale pomyślał, że jako łaskawy, a przy tym grzeczny król, nie może im odmówić posłuchania. „Żeby tylko nie mieli zamiaru się poddać” – pomyślał.

Do namiotu wkroczyło dwoje ludzi. Russowi nie przyszło nawet do głowy, że posłowie, to w gruncie rzeczy Iza i de Ba Jarz w przebraniach. Zresztą nie odznaczał się zbyt dobrym wzrokiem ani też pamięcią. Nawet poselska flaga zmajstrowana z kija i kawałka niezbyt białego płótna nie obudziła w nim nieufności. Pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji, więc skąd miał wiedzieć, jak powinna taka flaga wyglądać?

– Z czym przybywacie? – spytał.

– Z białą flagą. Taką prawdziwą – wyrwał się de Ba Jarz, ale momentalnie zamilkł, kiedy trafił go w bok kuksaniec Izy.

– O wielki i niezwycięzony królu Russie! – dziewczyna odezwała się zmienionym głosem.

– Przybywamy do ciebie z poselstwem od naszego władcy, króla Państwa Sąsiedniego.

– Tak, to prawda – dodał de Ba Jarz. – Na myśl o tym, że masz Świecidełko, nasz król się zatrwożył. Nie ma na niego siły. Tak właśnie...

Iza szturchnęła go po raz drugi w żebro.

– To moja kwestia! – syknęła.

De Ba Jarz przerwał i zerknął na trzymany w ręku karteluszek.

– Król Russ jest niepokonany – rzekła Iza. – Nie ma na niego siły, tak właśnie powiedział nasz król, gdy dotarła do jego uszu wieść o twojej sile i potędze posiadanego przez ciebie pierścienia. Walka byłaby samobójstwem.

– Przeto nasz król prosi cię... – De Ba Jarz znów spojrzał do ściąg. – Prosi cię, byś raczył rozma... rozmłh... – Powoli zaczynał mieć do siebie żal, że jako dziecko zaniedbał kaligrafię. – Prosi, byś...

– Raczył rozważyć naszą szczerą chęć zachowania przyjaźni do ciebie i twojego ludu – weszła mu w słowo Iza – i zechciał podać twoje warunki rozejmu.

Russ poskrobał się po podbródku, co było oznaką, że usiłuje myśleć. „Wiedziałem, że tak będzie” – pomyślał i szczerze się zmartwił. „Ale skoro dobrowolnie się poddają, to przecież nie wypada mi poszczuć ich smokami.”

– Dobrze – powiedział w końcu. – Jeżeli poddajecie się dobrowolnie...

– Jednakże nasz król nie ma pewności, czy pierścień, który posiadasz, rzeczywiście jest owym słynnym Świecidełkiem – rzekła Iza. – Polecił więc nam, aby się osobiście o tym przekonać.

– Czyli że... – Russ odzyskał nadzieję – trzeba zrobić pokaz i ściągnąć tu smoki.

– Nie! Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy panie, że obejrzymy pierścień.

– A, o to chodzi! – Wziął Świecidełko. – To pierścień, będący postrachem... no... nieważne. Dający mi władzę nad smokami i niosący zagładę tym, którzy mi się sprzeciwiają. – Podał go Izie i się zasępił.

– Rzeczywiście, to musi być oryginał – przyznała Iza, niepostrzeżenie chowając pierścień do podręcznego worka.

– Właśnie! – De Ba Jarz złożył ukłon tak głęboki, że zabolął go kręgosłup. – Przekażemy naszemu władcy tę nowinę, po czym przybędzie tu osobiście, żeby podpisać kapitulację.

– Otóż to – zgodziła się Iza, podejrzenie szybko zblizając się do wyjścia. – To był zaszczyt, posłować do tak wielkiego, mądrego i łaskawego króla.

– Tak, wielki zaszczyt – dodał de Ba Jarz, po czym jeszcze raz się ukłonili i wyszli.

Król cały czas był jakby nieobecny duchem. Ciągłe rozważał w swojej głowie różne możliwe warianty działania. „Jeszcze mogę wezwać smoki, a ich kazać pojmać i zabić. Może nikt nie widział, że tu wchodził. Co mnie podkusiło, że kazałem ich tu wpuścić? Ale przecież

nic złego jeszcze się nie stało. Czy jako pan i władca tego świata, mający na usługach armie potworów muszę stosować się do jakichś reguł, czy ustalonych zasad?”

– Teraz to ja ustalam zasady i tworzę reguły!!! – krzyknął zniecierpliwiony, a jego słudzy poderwali się na baczność.

Król rozglądał się po namiocie i robił coraz bardziej zdziwioną minę.

– Gdzie oni są?

– Odeszli, Wasza Wysokość – odezwał się jeden z królewskich sług.

– I nie słyszeli mojego stylowego tekstu?! – Russ aż złapał się za głowę. – Chwila, a gdzie jest pierścień?

– Zabrali go ze sobą, najjaśniejszy panie.

– Durnie! – krzyknął rozwścieczony król. – I wy na to pozwoliliście?

– Nie było rozkazu, żeby nie pozwalać – odparł wystraszony sługa.

Króla ogarnęła wściekłość. Wykrzykując przekleństwa, które w języku cywilizowanym miały znaczyć „Oferty, łapcie ich”, wybiegł z namiotu i rzucił się w pogoń za Izą i jej towarzyszem. Żołnierze króla rozbiegli się po obozie, szukając zbiegów. W końcu ich znaleźli.

– Niech to! – jęknęła Iza. – Znowu się nie udało!

– Nie poddamy się bez walki – zawołał De Ba Jarz i sięgnął po swój oręż, ale okazało się, że miecz się gdzieś zapodział.

Żołnierze pojмали go więc bez walki, schwycili też Izę i odebrali im pierścień. Król akurat już podbiegał do nich. Wyszarpnął żołnierzowi z ręki Świecidełko i zawołał:

– Myśleliście, że jesteście tacy przebiegli? To teraz poznacie, do czego doprowadziła wasza bezczelność. Chcieliście się przekonać, czy to prawdziwe Świecidełko, to się przekonacie na własnej skórze! Zniszczę was i to państwo! Tak! Wezwę smoki i obrócę to wszystko w ruinę!

Iza zdała sobie sprawę, że znowu wyszło zupełnie inaczej, niż zaplanowali, jednak nie mogli już temu zaradzić.

Monarcha uniósł pierścień w górę i usiłował przypomnieć sobie magiczną formułę przywołującą smoki. Po chwili zawołał donośnym głosem:

– Na wezwanie smoczego pierścienia władzy przybywajcie smoki ze wszystkich stron świata! – Ledwo to wymówił, Iza ujrzała w oddali na niebie trzy latające stwory. Pierwszy z nich był wielką, groźnie wyglądającą bestią. Drugi był jeszcze większym i jeszcze groźniej wyglądającym potworem. Trzeci zaś był tak ogromny i przerażający, że pozostałe dwa wyglądały przy nim jak pluszaki.

Po chwili na całej linii horyzontu pojawiły się gromady bestii, zmierzające ku wznoszonemu przez upiornie śmiejącego się króla pierścieniowi. Nagle jednak jego śmiech zamilkł. Coś było nie tak. Smoki były coraz bliżej, a pierwszy stanowczo za blisko. Leciały ku niemu i wyglądały na wściekłe i żądne krwi. Pot wystąpił królowi na czoło. Nie tego chciał. Dlaczego są takie rozgniewane, przecież jeszcze nawet nie wydał im rozkazu do ataku?

– Stójcie! – zawołał rozpaczliwie. – Rozkazuję wam się zatrzymać!

Jednak albo nie zrozumiały, albo nie były w nastroju do wysłuchiwanie poleceń.

Russ porzucił Świecidełko i zaczął uciekać, ale było już za późno. Pierwszy ze stworów dopadł króla i w locie porwał go w swoją paszczę. Dwa inne ruszyły w pogoń za nim, pozostałe zaś zaczęły się uganiać za uciekającymi w popłochu rycerzami. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nagle nie rozległ się głośny niby grzmot smoczy pomruk. Iza i de Ba Jarz z przerażeniem ujrzeni, jak wszystkie smoki nagle zawróciły i zaczęły się znów do nich przybliżać. Teraz już wiedzieli jak bardzo Świecidełko jest niebezpieczne. A pierścień toczył się po ziemi w ich kierunku i zatrzymał u ich stóp. Stali jak sparaliżowani, nie mając odwagi go podnieść. Smoki były coraz bliżej.

Wtedy rozległ się kolejny smoczy pomruk. Wszystkie smoki jak na komendę zrobiły skręt i przeleciały przed obliczem Pandragona, który stał nieopodal królewskiego namiotu. Każdy ze smoków skłonił się w locie przed swoim królem i odleciał, skąd przybył.

Tylko jeden ze smoków wylądował przed władcą i w geście poddańczym przypadł do ziemi skłaniając nisko głowę.

– A ty, Pendraq, zawsze na przedzie – przemówił do niego Pandragon. – To cię kiedyś zabije. Co zrobiłeś z ludzkim królem? – spytał.

– Wybacz mi władco, miałem go w paszczy i wzbiłem się wysoko, kiedy usłyszałem twój rozkaz. Krzyknąłem: „Tak jest królu” i wtedy ten człowieczek wypadł mi z pyska, a że rozkazałeś, bym natychmiast się przed tobą stawił, nie było czasu, by go łapać.

– Pytałem, co z nim!

Pendraq skulił się w sobie.

– Myślę, królu, że nie przeżył, naprawdę leciałem wysoko.

– Może i dobrze się stało. Wracaj do swojej nory i żebym cię nie musiał oglądać na moich włościach przynajmniej ze dwa wieki.

Pendraq podniósł się z kolan, jeszcze raz skłonił przed swoim władcą i odleciał. Kiedy de Ba Jarz zobaczył, że smoki odleciały, schylił się, podniósł pierścień, podał go Izie i podeszli do Pandragona.

– Teraz już wiecie, jak bardzo niebezpieczną rzeczą jest Świecidelko – usłyszeli jak zwykle przenikliwe słowa smoka. Iza podała mu pierścień, a on zadowolony, włożył go na palec.

– Powiedz nam, co się stało z królem Russem? – poprosiła Iza.

– Otrzymał, na co zasłużył – odparł.

– Czyli co? – wtrącił się do rozmowy de Ba Jarz.

– Jak by to powiedzieć? Po prostu teraz panuje u was bezkrólewie.

– Ale... – wyjąkał rycerz. – Dlaczego smoki go nie słuchały?

– Bo to smoki. Dlaczego miałyby słuchać rozkazów człowieka?

– Miał w ręku Świecidelko.

– Wy też mieliście je w ręku. Zrozumcie, że smoki nie wykonują rozkazów ludzi, bez względu na to, co ludzie trzymają w rękach.

– Ale ten pierścień miał dawać władzę nad smokami.

– Kto tak powiedział? Nie żartuj sobie. Ja władam smokami, ale nie dlatego, że mam pierścień, tylko dlatego, że pochodzę ze znanego, starożytnego, smoczego rodu. No... fakt, że wśród moich przodków nigdy nie było smoczycy królów, ale czyż wszystkie smoki nie pochodzą od pierwszego smoka ojca i pierwszej matki smoczycy? I czy mój ród nie jest znany wśród smoków? Każdy smok o mnie słyszał. Pokonałem poprzedniego smoczego władcę i przepędziłem go do krainy, gdzie rośnie pieprz. Teraz ja jestem ich władcą i żaden smok moich praw do tronu nie kwestionuje. Nie mówiłem, że pierścień daje władzę nad nimi, lecz że pozwala wezwać w jednej chwili wszystkie smoki świata. Bo też tak jest w istocie. Król nieboszczyk Russ wezwał je do siebie, a że akurat były wściekłe i wygłodniałe? To się nazywa pech. Ale dosyć. Zmęczyła mnie ta cała historia. Od kilku miesięcy nie spałem, teraz muszę odespać. Zanim wrócę do jeziora, zaszyję się na jakieś dziesięć lat w swojej pieczarze. Tyle macie czasu, by moje jezioro nadawało się na mieszkanie dla Króla Smoków. Czyste i schludne. Kiedy wrócę, chcę, żeby w jego krystalicznej wodzie pływało mnóstwo ryb. Ryby lubię bardziej niż waszą wołowinę, czy baraninę. Wasz nowy władca na pewno będzie wiedział, że nie należy ze mną zadzierać, a wy nie musicie mu mówić, że śpię. Myślę, że się rozumiemy. No to leć.

Pandragon rozwinął skrzydła.

– Aha – powiedział. – I dzięki za pomoc.

– To drobiazg – rzekł skromnie de Ba Jarz, pusząc się jak paw.

– Przecież nic nie zdziałaliśmy – zauważyła Iza.
– Ale próbowaliście – rzekł Pandragon. – Dobrze chęci też się liczą.
To powiedziawszy wzbił się w powietrze.
– Cudnie – stwierdził de Ba Jarz. – Jeszcze jeden bohaterski czyn na koncie.
– Czy zrobienie flagi z kija i brudnej szmatki albo fatalne udawanie posłów jest bohaterstwem? – Iza uśmiechnęła się z powątpiewaniem.
– Nieważne. – De Ba Jarz machnął ręką. – Kiedy się jest wielkim rycerzem, wszystko, co się robi, jest bohaterskim czynem. Zresztą poeci, bardowie, czy miłośnicy fantazy zadbają już o to, by tak to zapamiętano. Teraz już mogę szczerze stwierdzić, że to była całkiem miła przygoda. Aż szkoda, że już się skończyła – rzucił, zerkając z zadowoleniem na niebo, na którym nie było już śladu po smokach. Po chwili spochmurniał. – Jedno tylko nie daje mi spokoju.
– Tak?
– Nadal nie mam pojęcia, gdzie podział się mój miecz.
Iza roześmiała się.
– Znajdziesz sobie inny. A jeśli szukasz przygód, to mam propozycję – odparła. – Wędrując z poselstwem od smoka przez las, zdawało mi się, że dostrzegłam wśród drzew zaciszną polankę i szałas. Można by tam zaszyć się na jakiś czas. Na pewno przydarzy się nam coś niezwykłego i pewnie przyjemniejszego niż przygoda ze smokiem.
Ponieważ Iza była urodziwą dziewczyną, kawaler uznał, że to fantastyczny pomysł. Jak wiadomo, uwielbiał przygody, zwłaszcza ten ich moment, kiedy ładna dziewczyna rzucała mu się na szyję.

*

Minęło sporo czasu, choć Iza i jej rycerz upieraliby się pewnie przy zdaniu, że minęła zaledwie chwilka. Mieszkali w uroczej chatce nad brzegiem jeziora z trójką niesfornych, ale przemyłych dzieciaków. Okolica była cicha i spokojna, bo miejscowa ludność wolała jezioro omijać szerokim łukiem, choć jego woda była teraz krystalicznie czysta i pływało w niej mnóstwo ryb. Niektórzy powiadali, że w wodach jeziora mieszka straszliwy potwór. Byli i tacy, co twierdzili, że to smok i że tego przerażającego stwora widzieli na własne oczy.

Iza i jej mąż zbywali te fantastyczne opowieści wzruszeniem ramion. Kąпали się w jeziorze i łowili ryby. Czasem w nocy, przy świetle księżyca, kiedy dzieciaki zmorzył twardy sen, wsiadali do łodzi i wypływali na głębię. Z każdej takiej wyprawy wracali szczęśliwi i tak podekscytowani, że trudno im było doczekać kolejnej.

Dla nich jezioro było zaczarowane. To nie ulegało żadnej wątpliwości.

Pani Jeziora

I

Błade światło księżyca z trudem przebijało się przez płataninę gałęzi. U stóp potężnych, starych drzew rozścielał się dywan mroku. Las zdawał się spać niespokojnym snem.

Przedzierający się przez gąszcz mężczyzna odnosił wrażenie, że jest tu intruzem i puszcza niechętnie znosi jego towarzystwo. W pośpiechu przemierzał te ponure, leśne ostępy, raz po raz oglądając się za siebie. Czuł na plecach czyjeś złowrogie spojrzenie.

Znów w pobliżu rozległ się przejmujący skowyt, a w mroku zabłyśły na chwilę małe światełka. Wędrowiec jeszcze przyspieszył kroku. Biegł już teraz rozpaczliwie przed siebie. Jego twarz raz po raz smagały gałęzie. Brakowało mu tchu, pędził jednak, nie zatrzymując się. Czuł, że jeśli się zatrzyma, nie zdoła już umknąć.

Potknął się i upadł. Narastające z każdą chwilą przerażenie dodawało mu sił, wstał więc błyskawicznie i rzucił się do dalszej ucieczki.

Poczuł czyjś mocny chwyt. Szarpnął się gwałtownie i wyrwał z wrogich szponów. Rzucił nerwowe spojrzenie do tyłu. Tuż za nim kołysała się ogołocona z liści gałąź. Wędrowca przeszył dreszcz. Przysięgłby, że to ta gałąź zacisnęła się przed chwilą na jego ramieniu.

Rozpaczliwie kierował się w stronę przeświecającego zza gęstwiny drzew światła. Miał wrażenie, że puszcza napiera na niego ze wszystkich stron, jakby chciała zgnieść go w uścisku swych pni, gałęzi i korzeni.

Jego bieg trwał całą wieczność, w końcu jednak wypadł na otwartą przestrzeń. Przebył jeszcze sporą odległość, nim wreszcie, wyczerpany, padł na ziemię.

– Co się stało?

Ten zatroskany głos dobiegł go jakby z oddali. Ujrzał nachylającego się nad nim podstarzałego mężczyznę.

– Co się stało? – nieznajomy powtórzył pytanie.

Wędrowiec wybełkotał kilka niezrozumiałych słów, wskazując w stronę leśnej gęstwiny.

– Goni mnie! – wykrztusił wreszcie zdławionym głosem.

– Kto? – spytał nieznajomy.

– Nie wiem – szepnął wędrowiec. – Chyba wszystko.

To było wszystko, co zdołał powiedzieć, nim stracił przytomność.

II

Widział przed sobą gładką tafłę wody. Wyglądała czysto i spokojnie. Lekki wiatr owiewał jego twarz.

Posłyszał czyjś łagodny szept. Zdawał się dochodzić z głębi wody. Delikatnie namawiał go, by podszedł. Trudno było się oprzeć temu głosowi. Czuł, że traci wszelką siłę, którą mógłby bronić przed tym szeptem. Nie widział zresztą takiej potrzeby. Bezwolnie ruszył ku wodzie.

III

Gdy otworzył oczy, przez długą chwilę nie potrafił zrozumieć gdzie się znajduje i dlaczego właśnie tutaj. Pamiętał tylko gorączkowy bieg przez leśne ostępy, później jakieś majaczenia, teraz natomiast z pewnością leżał w łóżku. Twardym i niewygodnym, ale jednak.

Wciąż osłabiony, podniósł się na łokciach. Znajdował się w ubogo urządzonej izbie. Poza łóżkiem był tu jeszcze tylko stolik i jakaś spora szafa. Na ścianie wisiał krzyż.

Wędrowiec nie mógł też nie dostrzec dziewczyny stojącej w otwartych drzwiach i przyglądającej mu się z zainteresowaniem. Nie zdążył jej o nic zapytać, bo zniknęła natychmiast, gdy tylko ujrzała, że odzyskał przytomność.

Nie zostawiono go jednak samego na długo. Nie minęła nawet chwila, gdy dziewczę powróciło w towarzystwie podstarzałego mężczyzny, tegoż samego, którego wędrowiec widział był wczorajszej nocy. Ale czy naprawdę wczorajszej? Właściwie nie był pewien jak długo leżał bez przytomności.

– Chwała niech będzie Chrystusowi – przemówił gospodarz. – Przyszedłeś wreszcie do zmysłów.

– Długom leżał? – spytał wędrowiec.

– Niedługo. Ledwie dzień jeden.

– Kim jesteście, zacni ludzie?

– Zwą mnie Maciejem. Gospodarzę tu.

– Ach tak. Dzięki ci, Macieju, za okazaną mi opiekę. – Wędrowiec usiadł z lekkim trudem. – A ta młoda panna?

– To Jagna.

– Twa córka? – domyślił się.

– Nie – odrzekł Maciej. – Wychowanka. Sierota. A kimże ty jesteś, jeśli oczywiście nie jest to jakowąś tajemnicą?

– Jam jest Anzelm, pan na Brzezinach – przedstawił się wędrowiec.

Maciej zmarszczył brwi.

– Ale Brzeziny to tutaj – powiedział. – To nasza wieś.

– To przednio! – ucieszył się Anzelm. – To oznacza, że nie zmylił drogi.

– Wybaczcie, panie, ale jakże wy, nieznajomi, w obszarpanych szatach, możecie tu panować?

– nie rozumiał Maciej. – Rządzi tu Erazm, syn Manfreda.

– I jam jest synem Manfreda – rzekł poważnie Anzelm. – A po prawdzie, jeno ja, Erazm bowiem został tylko przygarnięty przez mego ojca.

– Wyglądacie jednak, panie, na przybyłego z daleka – zauważył Maciej.

– To zwykła rzecz – stwierdził Anzelm. – Można to łatwo wyjaśnić.

– Jak?

– Po prostu przybyłem z daleka.

– Ach tak. Gdzieście zatem bywali?

– Byłem na krucjacie.

– Czy to bardzo daleko? – pierwszy raz odezwała się Jagna.

– Mówię o wyprawie krzyżowej – wyjaśnił Anzelm. – Wraz z kwiatem rycerstwa chrześcijańskiego walczyłem w imię Pana w krajach pogan.

– Z kim? – zaciekawił się Maciej.

– A z kim można walczyć w krajach pogan? – odparł zniecierpliwiony Anzelm. – Z poganami.

– Czy zażarte były to boje? – zapytała Jagna.

– Niezwykle – przytaknął. – Parę razy mało com życia nie postradał. Odniosłem niejedną ranę i wiele razy myślał, że śmierć mnie już zabierze.

– Ale nie zabrała? – domyślił się Maciej.

- Raczej nie – odrzekł Anzelm. – Myślże trzeźwo, Macieju! Jakżeżbym mógł rozmawiać tu z tobą, martwym będąc?
- Czyż nie słyszeliście, panie, jaka sława wisi nad tym miejscem? – zdumiał się Maciej.
- A tak, słyszałem, jakoby było przeklęte. Nie daję jednak wiary takim pogłoskom.
- Lepiej uwierzcie, panie. Klątwa wisi nad nami.
- Nie wierzę w klątwy – rzekł Anzelm stanowczo. – Zbyt wielem widział prawdziwych koszmarów, by wierzyć w ludowe zabobony. Widziałem rzeczy, jakich nie uczyniłby najgorszy urok.
- W tych krajach pogan? – domyśliła się Jagna.
- Przytaknął.
- Chodźcie, panie. Pewnikiem głodniście po długiej podróży – rzekł Maciej.
- Nie inaczej.
- Posilcie się więc z nami. Czy dacie radę wstać na nogi?
- Nie takim rzeczy już w życiu robił – rzekł dumnie Anzelm.

IV

Ustawiono przed nim talerz kaszy.

- To wszystko? – spytał Anzelm po chwili, widząc, jak Maciej i Jagna zabierają się do jedzenia. – Rozumiem, że to na pobudzenie apetytu?
- A w jakimże celu pobudzać apetyt? – zdziwił się Maciej.
- No... – zastanowił się Anzelm. – Ażeby następne dania bardziej przypadły do smaku.
- Jakie znowuż dania?
- Następne. Mówię przecież.
- Ale jakie następne?
- Drugie, trzecie, czwarte...
- Maciej pokiwał głową w zamyśleniu.
- W istocie musicie być wielkim panem – powiedział. – Teraz widzę, żeście prawdę rzekli. Ale my tu, prości ludzie, nie mamy tyle wyszukanej strawy.
- Czyli niczego już poza tym... no... poza tym czymś... ziarnistym...
- To kasza, panie.
- Niczego poza tym już nie dostanę? Nie macie mięsiwa?
- Nie.
- Ani wina, tak?
- Niestety.
- Niczego nie macie?
- Mamy kaszę – zauważyła Jagna.
- A jak wam się znudzi kasza, to cóż wtedy jadacie? – spytał chytrze Anzelm.
- Kaszę, panie.
- No tak. Niepotrzebnie pytał. Czyli muszę to zjeść, bo niczego innego nie dostanę?
- Nie inaczej – przytaknął Maciej.
- Przekleństwo na Maurów i Saracenów! – wyrwało się Anzelmowi.
- A cóż to za jedni? – spytał Maciej.
- Paganie – wyjaśnił Anzelm.
- Czemuż obdarzyliście ich przekleństwem? – zapytała Jagna.
- To oni winni są całemu złu świata – stwierdził kategorycznie Anzelm.
- Nie może być! – wykrzyknął Maciej. – Oni wymyślili kaszę?
- Chyba nie – musiał przyznać niechętnie Anzelm. – Nie wątpię jednak, że byliby do tego zdolni.

Obdarzył Macieja władczym spojrzeniem.

– Czy mógłbyś, przyjacielu, posłać po mego brata? Niech wie, że przybył.

Maciej wstał od stołu.

– Wyprawię parobków – powiedział, po czym skierował się ku wyjściu.

Anzelm siedział markotnie, bębniąc palcami po stole.

– Szkoda, żeście synem Manfreda – przemówiła Jagna.

– Dlaczego? – nie zrozumiał.

– On umarł – rzekła. – I wy, jako jego syn, także musicie umrzeć.

Zmarszczył brwi.

– Ach tak. Słusznie wywiedzione – przyznał.

– Nie lękacie się tego?

– Kogóż z nas ominie ten los? – rzekł. – Ojciec zmarł, ale to się każdemu prędzej czy później przytrafia. Zostawił mi Brzeziny i mogę ci obiecać, panienko, że dobrze będę nimi rządził.

– Mój panie, przybyliście do nas bez świty – zauważyła Jagna. – Czy człek waszego rodu wędruje samotnie? Nawet wierzchowca nie mieliście.

– Ludzi podłego stanu łatwo przestraszyć – rzekł Anzelm. – Dali wiarę opowieściom o kłatwie i nie chcieli zbliżyć się do lasu. Jam się nie uląkł, przeto ruszyłem tu bez strachu w sercu. Wierzchowiec mój jednak opuścił mnie w drodze.

– Czego się przestraszył?

Anzelm wzruszył ramionami.

– Któż może to wiedzieć? – rzekł. – Bydłęta nad wyraz bywają strachliwe.

– Mój panie, Maciej mówił atoli, że i wyście wyglądali na wystraszonego.

– Maciej to prawy człowiek, jednak jego osąd nie wydaje mi się słuszny – powiedział Anzelm. – To, co wziął za wyraz lęku... było jeno... skutkiem zmęczenia.

W tym momencie zaskrzypiały drzwi i do izby wkroczył gospodarz.

– Posłałem po waszego brata, panie – poinformował.

– Zamieszkuje w zamku mego ojca? – domyślił się Anzelm.

– To dzielny mąż – rzekł Maciej. – Trzeba nie lada odwagi, ażeby mieszkać w tej nawiedzanej budowli.

– Erazm to trzeźwo myślący człowiek – powiedział Anzelm. – Dziwne by mi było, gdyby dawał wiarę ludowym zabobonom.

– Zamek leży dość daleko od wsi – rzekł Maciej. – Uplynie nie jedna godzina, nim brat wasz przybędzie.

– A zatem pozwólcie mi się rozejrzeć po okolicy.

– Chętnie was oprowadzę, panie, jeśli będzie wam miłe towarzystwo tak prostej dziewczki – zaproponowała Jagna.

– Nie wywyższam się ponad ludzi podlejszego stanu – uspokoił ją Anzelm. – Jeśli chcesz być moją przewodniczką, z chęcią na to przystanę.

V

Południowy wiatr lekko kołysał korony drzew. Liście zdawały się śpiewać cicho jakieś zapomniane pieśni, a tafla jeziora marszczyła się za każdym podmuchem, zniekształcając świat, który ukazywała jej powierzchnia.

– To wspaniałe miejsce – stwierdził Anzelm, siedząc na skraju wody. – Pełne niewysłowionego uroku. Brzeziny wyglądają tak, jakby nigdy nie docierały tu wichry targające zewnętrznym światem.

– To prawda, panie – przytaknęła Jagna.

– Miło mi będzie tu osiąść po tych wszystkich krwawych bojach, którym stoczył. Byłem świadkiem morderstw, zdrady i okrucieństwa. Tu wypocznę, całym sobą chłonąc spokój.

– Słyszysz panie? Drzewa szeptaają o was.

Anzelm przeniósł na dziewczynę pełen zdziwienia wzrok.

– Coś powiedziała? – spytał.

– Mówią o was – rzekła w zamyśleniu. – I wcale nie są zadowolone.

– Kto?

– Drzewa.

– Tak, tak. Oczywiście – rzucił szybko. – A czy drzewa mówią coś jeszcze?

– Że nie powinno was tu być – rzekła cicho.

– Zgadzasz się z nimi? – spytał łagodnie Anzelm. Wiedział, że z obłąkanymi trzeba postępować ostrożnie. – Kamienie na pewno się nie zgadzają – powiedział tryumfalnie.

Zmarszczyła brwi.

– Kamienie nie mówią, panie – zauważyła.

– No to może kwiaty? – podsunął. – Albo rzeźba wodna? – Nachylił się nad powierzchnią jeziora.

Jagna chwyciła go za rękaw.

– Nie zbliżajcie się do wody! – krzyknęła.

Usiadł ponownie.

– Wy, miejscowi, jesteście z lepsza... dziwni – stwierdził.

– Nie można zbliżać się do wody – rzekła ostro Jagna.

– Nie ma obaw. Przednio pływam – uspokoił ją Anzelm.

– Nie o to chodzi – powiedziała dziewczyna. – Jesteście przybyszem z zewnątrz, ale tutaj wszyscy znają historię nieszczęśliwie zakochanej niewiasty, która utopiła się z rozpaczy w tym jeziorze.

Zapadła pośepna cisza.

– Była jedną z nas – rzekła znów Jagna. – Została odtrącona. Wzgardzono jej uczuciem. Spójrzcie, drzewa pochylają się nad jej niedolą. – Wskazała ku wierzbom, spuszczającym swe długie witki ku powierzchni wody.

– Jakby ci to rzec, Jagno... nie wiem, czyś spostrzegła, ale... wierzby zawsze mają... te swoje witki... no, w dół.

Zignorowała go, wpatrując się w jezioro.

– Lepiej nie zakłócać jej spokoju – rzekła.

Anzelm wbił wzrok w wodę. Sam się sobie dziwił, ale widok falującej tafli wyzwał w nim niepokój.

– Naprawdę nic wam nie wiadomo o tej historii? – spytała Jagna.

– Byłem małym dzieckiem, gdym opuścił Brzeziny. Nabywałem ogłady we dworze, później zaś siekłem Maurów i Saracenów daleko stąd – przypomniał Anzelm. – Skądże miałbym znać wasze ludowe podania?

– Podania? – obruszyła się. – Podania mówią o odległych czasach, to zaś są całkiem niedawne zdarzenia. To nie tylko historia odrzuconej, lecz również tego, kto ją odrzucił. – Wstała z ziemi. – Waszego ojca, Manfreda.

Anzelm poderwał się na nogi.

– Mój ojciec?! – wykrzyknął zdumiony. – Cóż ty mówisz?! Mój ojciec przestawał z gminem? Ktoś jego stanu nie mógł się przecież związać z wieśniaczką!

Jagna ze smutkiem wpatrywała się w jezioro.

– I on tak musiał uważać – szepnęła.

Anzelm ponurym wzrokiem omiótł to jezioro, które przyjęło na siebie ciężar ludzkiej tragedii.

– Bracie mój!

Ten okrzyk wyrwał go z zamyślenia. Anzelm odwrócił się i ujrzał Erazma, rozkładającego szeroko ramiona.

– Powiedziano mi, że tu cię znajdę! – zawołał ów.

Wyraz twarzy Anzelma nie zdradzał szczególnej radości.

– No, jakże tam się siekło Maurów i Saracenów? – zapytał Erazm.

– Niezgorzej – przyznał Anzelm.

– Wieluś ubił? – zaciekał się Erazm.

Anzelm lekceważąco machnął dłonią.

– Nie czas prawić o swych zasługach – stwierdził. – Ojciec nasz nie żyje, przybyłem przeto do swych włości, objąć tu władanie.

– Serce me raduje się z twego widoku, bracie – zapewnił Erazm. – Chodź, pojedziemy do zamku. Widzę, żeś swego własnego wierzchowca gdzieś postradał, ale to nic. Ten, któregom tu dla ciebie przywiódł, również jest przedni. Zatem na koń, mój bracie! Dziś wreszcie wypoczniesz po swych krwawych bojach.

– Chodźmy zatem.

Anzelm odwrócił się do Jagny.

– Dziękuję wam za troskę i pomoc. – rzekł. – Przekaż mą wdzięczność Maciejowi.

– Oczywiście. Nie omieszkam.

VI

Wieś Brzeziny nie wywarła na Anzelmie pozytywnego wrażenia. Jadąc ku zamkowi, mijali zapadłe, strzechą kryte domostwa i licznych wieśniaków, zajętych ciężką pracą. Anzelm zastanawiał się, dlaczego któryś z jego przodków to właśnie miejsce otrzymał za swe zasługi. Nie były to z pewnością włości, którymi można by się przed kimś pochwalić.

Również sama posiadłość rodu Manfreda nie była jednym z owych potężnych, wprawiających w zachwyt zamków. Anzelm ostatnio widział ją, będąc małym dzieckiem i wówczas budowla wydawała mu się daleko większa. Z tej to przyczyny rozczarował się z leksza, gdy oczom jego ukazał się średnich rozmiarów zameczek.

– Witaj w rodzinnych progach – rzucił rażno Erazm, gdy przemierzali już zamkowy korytarz.

– Serce twe rade być musi z tego powrotu.

– O tak, kontent jestem, żeśmy już zajechali – odrzekł Anzelm.

Czuł się jednak dość nieswojo wśród tych nagich, kamiennych murów. Korytarze były wąskie i skąpane w półmroku. Odnosił wrażenie, jakby ściany chciały go zmiażdżyć w swym uścisku. Jakaś ponura aura ciążyła nad tym miejscem. Odgłosy ich kroków odbijały się echem wśród tej posępnej pustki. Od czasu do czasu napotykali służących. Ludzie ci zdawali się mocno zaniepokojeni. Wydawało się, że tylko surowe rozkazy Erazma trzymają ich w tym miejscu.

– Twarz twoja jednak nie zdradza wielkiej radości – spostrzegł przybrany brat Anzelma.

– Zmęczenie nie dozwala mi jej okazać – wyjaśnił Anzelm.

– Wieleś musiał przejść ostatnimi czasy – przyznał Erazm. – Dzisiejszej nocy jednak wreszcie się wypisz.

VII

Anzelm znów odwrócił się na drugi bok, czując narastającą irytację. Noc była cicha i spokojna, łożo cudownie miękkie, co zatem nie pozwalało mu zmrużyć oka? Czy te śmiechu warte pogłoski, które usłyszał o zamku w domu Macieja? Nie, to niemożliwe. On, który

walczył z poganami, który widział krew i śmierć, nie mógł przecież złęknać się jakichś ludowych bajek.

Westchnął ciężko, poprawiając poduszkę. Może to przez tę ciszę? Może to ona tak go przytłacza?

Komnatę rozświetlało tylko blade, nieprzyjazne światło księżyca, wpadające przez niewielkie okienko.

Przymknął ponownie oczy, coś jednak kazało mu je otworzyć. Odniósł dziwne wrażenie, że nie jest w tej komnacie sam. Całym sobą czuł czyjąś niepokojącą obecność.

Usiadł i wbił wzrok przed siebie, ujrzał bowiem coś, co zmroziło krew w jego żyłach. Niewiele rzeczy było w stanie go przerazić, teraz jednak włosy zjeżyły mu się na głowie z przestachu. Oto na tle ściany rysowała się ludzka sylwetka. Po chwili wyraźnie już widział mężczyznę, wpatrującego się w niego z uwagą. Postać roztaczała wokół dziwne, stłumione światło, które sprawiało, że była dobrze widoczna, mimo mroku nocy.

Anzelm ogromnym nakładem sił pokonał ogarniającą go niemoc. Zerwał się z łóżka i sięgnął po miecz, który odłożył był na stolik przed udaniem się na spoczynek.

I wtedy dziwna postać przemówiła, a głos jej był słaby i odległy, jakby dochodził z oddali.

– Nie dobywaj miecza przeciw tym, którym nie może on już zaszkodzić.

Anzelm mocniej zacisnął dłonie na rękojeści.

– Jeśliś odporny na stal, zbliż się przeto! – wykrzyknął porywczo.

Od strony widziadła dobiegło go pełne smutku westchnienie.

– Nienajcieplej mnie witasz, synu.

– "Synu"? – powtórzył zdumiony Anzelm.

– Jam jest Manfred, twój ojciec.

– Mój ojciec nie żyje!

– To prawda – rzekła zjawa. – Nikt nie wie o tym lepiej niżli ja.

Anzelm cofnął się.

– Wszedłeś tu mimo zamkniętych drzwi – rzekł z niepokojem.

– Nie należę już do świata żywych, synu.

– Nie jesteś prawdziwy! Nie ma cię tu!

– Otóż niestety jestem – stwierdziło z całym przekonaniem widmo. – I przynoszę ci przestrozę.

Anzelm wpatrywał się w zjawisko szeroko otwartymi oczami, mając wielką nadzieję, że lada moment się zbudzi.

– Źleś uczynił, przybywając tu – przemówił znów duch Manfreda. – Gniew potężnych mocy skierowany jest ku tobie.

– Co mam czynić? – spytał drżącym głosem Anzelm.

– Musisz jak najprędzej opuścić Brzeziny – rzekł Manfred. – Żywię resztki nadziei, że okaże się to jeszcze możliwe. To twa jedyna szansa.

– Co mi grozi? – nie rozumiał Anzelm.

– Opuść Brzeziny. Odejdź i nie oglądaj się za siebie. Nie odwlekaj podróży.

Zjawa zamilkła na chwilę.

– Bolesna jest ma samotność – rzekła znów. – Nie chciałbym jednak, byś tak wcześniej do mnie dołączył.

Anzelm chciał zbliżyć się do postaci, jednak w ciągu krótkiej chwili rozmyła się ona w powietrzu. Przetarł oczy. Po tajemniczym przybywszu nie pozostało ani śladu.

– Przekłęci Maurowie – mruknął Anzelm. – To pewnikiem ich sprawka. Musieli mnie otruć w swych krajach jakimiś nieludzkimi specyfikami. Dopókim nie wyruszył na krucjatę, wszystko było zwyczajne, a teraz czuję się, jakobym był obłąkany.

Nie bardzo wierzył w to, czego był przed chwilą świadkiem, lękał się jednak udać na spoczynek. Resztę nocy przesiedział na krześle, z mieczem w dłoni, zachowując najwyższą czujność.

VIII

- Jak to opuszczasz zamek? – wykrztusił zdumiony Erazm. – Po jednej nocy?
- Trzeba mi spokoju, bracie – rzekł stanowczo Anzelm.
- Azaliż nie znalazłeś go w domu rodzinnym? – zdziwił się Erazm. – Czym źle cię ugościł? Poza tym, jesteś tu teraz panem. To twoja własność, a ty chcesz ją opuścić?
- Miałem straszliwe sny, Erazmie – rzekł Anzelm. – Dręczyły mnie majaki chorego umysłu. Muszę prawdziwie wypocząć. Z dala od tego miejsca.
- Erazm pokiwał głową w zamyśleniu.
- Smutno widzieć cię w tym stanie – powiedział. – Znać, że czas walk w imię wiary poczynił spustoszenie w twojej duszy. Nie opuścisz wszakże Brzeziny? – zaniepokoił się.
- Anzelm milczał przez chwilę.
- Nie – rzekł w końcu. – Jakżebym mógł? To moje dziedzictwo. Nie opuszczam zamku na wieki. Chcę jeno wypocząć przez kilka dni. Myślę, że poza tymi murami ozdrowieję.
- Gdzie będziesz nocować?
- W domu Macieja. Tam nie dręczyły mnie mary senne. To spokojne miejsce.
- I zamek jest spokojny.
- Widocznie nie nazbyt. Coś tu wisi w powietrzu i sieje w mej duszy niepokój – rzekł cicho Anzelm.
- Żegnaj zatem, bracie – westchnął Erazm. – Liczę na twój rychły powrót.

IX

Anzelm wstrzymał wierzchowca, zajechawszy nad jezioro. Było stąd już widać chatę Macieja. Anzelm na jej widok doznał nagłego uczucia spokoju. Nie spodziewał się tego, lecz dopiero przybywszy tutaj, poczuł się, jakby wracał do domu.

Zsiadł z konia i ujął go za uzdę.

Przechodząc brzegiem jeziora, nie mógł powstrzymać się od myśli o smutnej historii, którą usłyszał był od Jagny. Było coś niezwykłego w wierze tych prostych ludzi w to, że cała przyroda pochyła się nad nieszczęściem ludzkim.

Zastanawiał się, czy naprawdę jego ojciec był przyczyną tego nieszczęścia. Czy to jego obojętność na uczucie niewiasty, popchnęła ją do rozpaczliwego kroku? Mógł go o to wczoraj zapytać.

Uśmiechnął się cierpko, zdając sobie sprawę, że zaczyna myśleć o swej rozmowie ze zmarłym ojcem, jak o rzeczywistym zdarzeniu. A przecież to nie mogła być prawda. I nie może uznać tego za prawdę, bo oznaczałoby to, iż do reszty postradał zmysły. Do tego nie dojdzie! Brzezina nie odziedziczył szaleniec, lecz człek rozsądny i trzeźwo myślący. Nie stanie się przecież jednym z tych zamartwiających się jakąś bzdurną klątwą wieśniaków.

Wzrok jego padł na spokojną taflę jeziora. Nie, Jagna nie miała racji. Świat nie cierpi wraz z ludźmi. Woda jest tak spokojna i czysta, mimo, że zabiła nieszczęsną niewiastę. To nieprawda, że przyroda przejmuje się ludzkim cierpieniem. Z jeziora bije przecież wręcz atmosfera dziwnej obojętności.

Skierował spojrzenie ku niezwykłemu, cudnej urody kwiatowi, który kołysał się ponad powierzchnią wody. Zdawał się wyrastać z dna jeziora, naprawdę jednak utrzymywał się na

plywającym liściu jakiejś wodnej rośliny, niezbyt daleko od brzegu. Nie sposób było oderwać od niego wzroku.

Pomyślał, że Jagna z pewnością ucieszyłaby się z takiego podarku. Skierował się ku wodzie. Powodowało nim jednak znacznie więcej niż tylko chęć obdarowania ludzi, którzy okazali mu tyle dobrego serca. Wydzierając jezioru jego najcudniejszy owoc, zakpiłby otwarcie z wszystkich tych ludowych zabobonów. Przekonałby sam siebie, że tak naprawdę nie ma w Brzezinach niczego tajemniczego. Że wciąż jest człowiekiem rozumnym, nie zaś obłąkanym.

Odczuł pewną przyjemność, wkraczając w chłodną wodę. Nie przejmował się bynajmniej tym, że przemoknie. Spotkało go tyle trudów, że doprawdy taka drobnostka nie mogła mieć żadnego wpływu na jego postępowanie.

Nim dotarł do kwiatu, woda sięgała mu do pasa. Ujął roślinę w dłoń i zerwał ją. W momencie, gdy to uczynił, poczuł nagłe ukłucie niepokoju. Czuł się, jakby dokonał jakiegoś świętokradztwa, choć zdawał sobie sprawę, że to bzdura. Nie mógł się jednak powstrzymać od wyobrażenia, które załęgło się w jego umyśle. Ten kwiat spoczywał nad grobem tej nieszczęsnej niewiasty, ku jej czci.

Nie, to nonsens. Ci wieśniacy robią ze mnie głupca. Powoli przejmuję ich sposób myślenia. Nie jestem wiejskim prostakiem, lecz panem znamienitego rodu. Wieśniacy mogą czuć lęk przed jakimiś tajemnymi siłami, ale nie ja, który siekłem Maurów i Saracenów.

Mimo to, nie potrafił narzucić sobie spokoju. Ruszył ku brzegowi w pośpiechu, którego sam nie był w stanie sobie wytłumaczyć.

W pewnej chwili poczuł jakieś szarpnięcie i momentalnie oblał go zimny pot. To nic, pomyślał. Musiałem zahaczyć o jakieś podwodne rośliny.

Szarpnął się ku brzegowi, ale wtedy poczuł już wyraźnie, że coś go chwyta. Po chwili zrozumiał, że jakaś niezwykła siła usiłuje wciągnąć go w wodę. Czując narastające przerażenie, starał się wyrwać z niewidzialnego uścisku. Zachłysnął się wodą. Zebrałszy w sobie wszystkie siły, wychynął na jej powierzchnię. Poczuł, jak coś chwyta go za ramię. Rzucił okiem i znieruchomiał z przerażenia. Z wody wynurzała się zimna, trupio blada ręka. Anzelm wyrwał się z jej uścisku i w panice niemal wyskoczył na brzeg.

Padł na ziemię i wbił wzrok w jezioro, nie śmiejąc się poruszyć. Gdyby nie fale na powierzchni wody, nic nie wskazywałoby na to, by zaszło tu cokolwiek.

Dostając oblędu, przestraszył się Anzelm. Wyraźnie odchodzę od zmysłów.

Z trudem podniósł się na chwiejących nogach. Przecież to nie mogło mu się wydawać. Ktoś chciał go wciągnąć w toń. Działy tu siły nieczyste i z każdą chwilą nabierał co do tego pewności.

Jedno było pewne. Coś chciało go zabić i świadomość tego faktu przyprawiała go o gniew. Tak rzadko lękał się czegokolwiek, że ogarniała go wściekłość na myśl, iż zmuszono go do przerażenia.

Porwał za broń i doskoczył do jeziora, raz po raz przesywając z pasją taflę wody.

Nikt jednak nie czaił się w głębi. Nikogo nie dosięgło ostrze miecza.

– Żeby zaraza wybiła tych Saracenów – mruknął Anzelm.

Nie oszalał. Coś naprawdę chce mu zrobić krzywdę, a on nie jest w stanie obronić się przed tymi złowrogimi siłami. Ale jeśli to wszystko dzieje się naprawdę, to czemużby faktem nie miała być wczorajsza wizyta Manfreda?

Nie. Nie może zostać tu ani chwili dłużej. Całe to miejsce było przeciw niemu. Nie pozwoli się zabić.

Odwrócił się gwałtownie i ujrzał naprzeciw siebie Jagnę. Stała nieruchomo, wpatrując się w niego z niepokojem wymalowanym na twarzy.

– Wróciliście, panie – rzekła cicho.

– Tak, ale nie na długo – odparł. – Odchodzę.

– Jak to? Teraz? Co się stało?

Skinął głową w stronę jeziora.

– Przeżyłem długą, pełną trudów drogę i krwawe boje z poganami nie po to, by śmierć spotkała mnie w domu – powiedział.

Jagna zmarszczyła brwi.

– Panie, czyście zblizali się do wody? – spytała.

Anzelm spojrział na zerwaną przez siebie roślinę, po czym rzucił ją na ziemię.

– Zabrałem to z jeziora – powiedział. – Musiałem kogoś rozgniewać.

– Żeście uczynili – przyznała Jagna. – Nie to wszakże rozgniewało tę, która mieszka w wodzie.

– Nie to?

Dziewczyna wskazała na leżący kwiat.

– Tym chciała was ściągnąć – rzekła. – Przynęcić do wody.

– Po cóż? By mnie utopić?! – wykrzyknął.

Westchnęła.

– Mówiłam, żebyście nie nachylali się nad wodą – przypomniała. – Teraz już za późno.

– Nie rozumiem – rzekł Anzelm.

– Musieliście się jej spodobać – stwierdziła Jagna. – Tak jak wasz ojciec.

– I dlatego chciała mnie utopić?! – zdenerwował się.

– Chciała waszego towarzystwa.

Anzelm przygryzł wargę.

– Nie zostanę tu ni chwili dłużej – rzekł stanowczo.

– Nie wierzyliście w klątwę, panie – przypomniała Jagna.

– Nie wierzyłem, bo dotychczas żadna topielica nie chciała mnie wciągnąć w odmęty – odparł Anzelm. – Możecie wszyscy szaleni, ale widocznie i jam oszalał. Nie mogę już wątpić o przekleństwie ciążyącym nad Brzezinami, gdy dotykają mnie takie rzeczy. Odchodzę.

Dziewczyna obdarzyła go smutnym spojrzeniem.

– Nie uda wam się – rzekła. – Nie wypuści was.

– Któż mnie nie wypuści?

– Las.

W Anzelmie obudziło się wspomnienie jego szaleńczego biegu wśród drzew. Jak przez mgłę pamiętał to przejmujące uczucie zagrożenia, zupełnie jakby całe otoczenie było jego wrogiem.

– Przecież nie zostanę tu – powiedział. – Nie mogę. To miejsce naprawdę jest przeklęte. Szaleństwem byłoby tu pozostać.

– Mówiłam wam, iż wszystko tutaj, każdy kamień i drzewo, jest po stronie tej, która utonęła – rzekła Jagna. – Nie pozwolą wam odejść. Nie uda wam się.

– Muszę spróbować – odparł Anzelm stanowczo. – Żegnaj, Jagno. Już się zapewne nie zobaczymy, bez względu na to, czy mi się powiedzie, czy też nie.

Skinęła mu głową na pożegnanie.

– Życzę wam powodzenia, panie, choć w nie nie wierzę – rzekła.

Anzelm ruszył w stronę linii drzew. Nie minęło wiele czasu, gdy zagłębił się w gąszcz. Starał się zachować spokój, ale naprawdę oddałby wszystko, byle znaleźć się już jak najdalej od Brzezin.

Co tu się wydarzyło podczas jego nieobecności? Czy naprawdę było tak jak mówi Jagna? Jego ojciec wzgardził uczuciem niewiasty, która utopiła się z rozpaczy? Cała przyroda pochylała się nad jej nieszczęściem i zwracała się przeciw niemu, Anzelmowi, jako synowi Manfreda? A jeśli tak, to jakie siły nią kierują? Czy to z woli Wszechmogącego wszystko zwraca się przeciw Anzelmowi? Czy ma być dla tej nieszczęsnej topielicy rekompensatą za uczucie odrzucone przez jego ojca?

Zdawało mu się, że wciąż jeszcze czuje lodowaty uścisk tych bladych, martwych dłoni. Trudno było uwierzyć, że to wszystko stało się naprawdę. Nawet jednak, gdyby były to tylko wytwory chorego umysłu, za nic nie wróciłby nad to jezioro, choć irytowała go myśl, że on, który dzielnie stawiał czoła hordom pogan, teraz czuje się zmuszony do ucieczki.

W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że stracił orientację. Nie był pewien, w którym kierunku powinien podążać, by wyjść z tego lasu.

Znów czuł ten drażący, przejmujący niepokój. Czuł skierowaną ku sobie nienawiść. Zdawało mu się, że otacza go ona ze wszystkich stron.

Zauważył, że mimo wczesnej pory las ogarnia półmrok. Drzewa zdawały się też rosnać coraz gęściej, aż Anzelm zaczął mieć wrażenie, że w końcu braknie dla niego miejsca i zostanie zmiażdżony w ich uścisku.

Już wcześniej szedł bardzo szybkim krokiem, teraz jednak rzucił się biegiem przed siebie. Czuł, że skierowane przeciw niemu moce, czymkolwiek są, rosną w siłę i im szybciej zdola wy dostać się z tego koszmarnego lasu, tym lepiej.

Wyczerpany, zaczął potykać się o korzenie i pnącza. Mógłby zresztą przysiąc, że one same podsuwają mu się pod nogi. Gałęzie smagały go po twarzy i zahaczały raz po raz. Anzelm był u kresu sił. Biegł, z trudem klucząc między nieprzyjaznymi drzewami. Nie wiedział przed czym ucieka, ale lękał się spojrzeć za siebie. Zdawało mu się, że czuje czyjś oddech na plecach. Ogarniało go przerażenie, gdy do głowy przyszła mu myśl, że może nigdy nie znaleźć wyjścia z tego gąszczu, że padnie tu z sił.

W końcu, gdy był już pewien, że opuszczą go one całkowicie, wypadł na otwartą przestrzeń. Runął w wysoką trawę i obraz rozmył mu się przed oczami.

X

Znów leżał w łóżu, ale tym razem znacznie wygodniejszym, niż to z domu Macieja. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą kamienne sklepienie. A zatem to nie mogła być wiejska chata. Zerknął w bok i ku swemu bezgranicznemu zdumieniu ujrzał Jagnę, wpatrującą się w niego z troską. Usiadł i przez chwilę nie mógł wykrztusić ani jednego słowa.

– Co to ma znaczyć?! – zawołał wreszcie. – Jak to możliwe?! Gdzież jestem?! – Rozejrzał się niespokojnie po wszystkich kątach. – Poznają tę komnatę! Czy to możliwe?! Azaliż wciąż jestem w Brzezinach?!

– Nie "wciąż", panie. Znowu – sprostowała dziewczyna.

Anzelm poczuł jak zaczyna wzbierać w nim szaleństwo i wściekłość.

– Przekleństwo na Maurów i Saracenów! Zabijcie mnie, kto w Boga wierzy! – jęknął rozpaczliwie. – Nie zniosę dłużej już tej udręki! Czyż na tom błądził po tych po trzykroć przeklętych lasach, by trafić znów w toż samo miejsce?!

– Dlaczego "po trzykroć"? – zdziwiła się Jagna.

– Co rzeczesz? – nie zrozumiał Anzelm.

– Dlaczegoż w waszych oczach lasy te są przeklęte po trzykroć?

– A niechby były i po stokroć! – zdenerwował się. – Nie jest to ważki problem.

Zerwał się z łóżka.

– Co pocznę?! – zakrzyknął. – Nienawidzę tego miejsca! Zabija mnie!

W tym momencie do komnaty wkroczył Erazm.

– Witaj, bracie – rzucił od progu. – Cóż słyszę? Ledwieś wstał na nogi, już pokrzykujesz gniewnie na tę młodą pannę? Wierzaj mi, winieneś jej wdzięczność. Ona to znalazła cię nieprzytomnego i przyprowadziła do zamku.

– Jak? – zdziwił się Anzelm. – Jakże mogła mnie przyprowadzić?

– Pozostawiliście wierzchowca nad jeziorem – przypomniała Jagna. – Maciej wsadził was na jego grzbiet, a ja tu doprowadziłam.
W oczach Anzelma krył się obłęd.
– Stąd nie ma ucieczki! – zawołał.
– O co ci chodzi, bracie? Próbowałeś jednak opuścić Brzeziny? – spytał Erazm.
– A jakże! – potwierdził Anzelm. – Atoli to niepodobna. Las nie chce mnie wypuścić.
Erazm zmarszczył brwi.
– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że kpisz sobie ze mnie, lub też stałeś się na podobieństwo tych wieśniaków – rzekł. – To oni mają puszcę za żywą istotę.
– To przez nią! – zawołał Anzelm. – Przez tę z jeziora!
Erazm położył dłoń na jego ramieniu.
– Nie pojmuję twych słów – powiedział. – Musisz ochłonąć. Gdy będziesz gotów, zejdź na śniadanie. Porozmawiamy i wyjaśnisz mi, co masz na myśli.
To powiedziawszy opuścił komnatę.
Anzelm z ciężkim westchnieniem usiadł na krawędzi łoża.
– Erazm pozwolił ci zatrzymać się w zamku? – skierował pytanie do Jagny.
Dziewczyna skinęła głową.
– Pozwolił mi czuwać nad wami – rzekła.
– Obarczył cię tym obowiązkiem? – zmartwił się.
– Nie – zaprzeczyła. – Uczynił zadość mojej prośbie.
Anzelm wbił wzrok w podłogę.
– Wiele ci zawdzięczam – powiedział.
– To nic wielkiego – rzekła z uśmiechem. – Poza tym, bardzo podoba mi się w tym zamku.
– Naprawdę? Mnie napawa nienajweselszymi odczuciami. Podobnie jak cała ta wieś. Niepotrzebnie zrobił, przybywając w te strony. To był błąd. I nie mogę go już naprawić.

XI

– Cóż ty mówisz? – Erazm najwyraźniej nadal nie był w stanie uwierzyć w historię Anzelma.
– Niewiasta mieszkająca w jeziorze? Może na brzegu jeziora?
– W jeziorze – odparł stanowczo Anzelm. – W wodzie. W głębinach. Nie patrz na mnie jak na szaleńca.
– Ale pod wodą niepodobna żyć – zauważył trafnie Erazm.
– Owszem, nie sposób – zgodził się Anzelm. – Toteż ona nie żyje.
– Ach tak. Paradne. – Uśmiechnął się kpiąco Erazm. – Jednak zważ bracie, że będąc martwą, nie może nastawać na twe życie.
– Ano właśnie czyni to.
– Rzekłeś, że nie żyje. Leży sobie na dnie...
– Leży?! – parsknął Anzelm. – Żeby to tylko leżała. Usiłowała mnie wciągnąć w głębinę.
Erazm załamał ręce.
– Co ci przekłęci Saraceni z tobą zrobili? – westchnął.
– Nie jestem obłąkany! – wykrzyknął Anzelm. – Mówię szczerą prawdę!
– Aha, i uważasz, że to z jej przyczyny nie możesz opuścić Brzezin?
– Ona chce mego towarzystwa. A cała natura jej w tym dopomaga. Mam być dla niej pocieszeniem, którego nie dał jej mój ojciec. Tylko, że ja nie chcę.
– Zatem mamy do czynienia z upiorem? – rzekł Erazm.
Anzelm skinął ponuro głową.
– Ale ty w to nie wierzysz – powiedział. – Prawda?

– Nie wiem już, w co wierzyć – westchnął Erazm. – Wiem tylko, że coś śmiertelnie cię przeraziło. Ktoś chciał ci wyrządzić szkodę i nie mogę tego darować, jako twój brat. Kimkolwiek więc jest twój wróg i skądkolwiek przybywa, z tego lub innego świata, należy go pokonać.

Wstał od stołu.

– Weź swój miecz, Anzelmie – powiedział ochoczo. – Pojedziemy nad to jezioro i zobaczymy, z kim lub czym mamy do czynienia.

– Nie wydaje mi się, iżby nasze miecze wiele mogły zdziałać – rzekł posępnie Anzelm. – Stal to nie broń na demony. Nie zada śmierci komuś, kto ma ją już za sobą.

Erazm otworzył niewielką szafkę i wy dobył z niej również niewielkich rozmiarów krzyż na sznurku.

– I na demony piekielne znajdzie się broń – powiedział. – Ruszajmy. Jeżeli naprawdę coś nastaje na twe życie, zniszczymy to.

Anzelm ujął w dłoń podany mu przez Erazma krzyż i spojrział na brata z wdzięcznością.

XII

Drzwi komnaty Erazma były otwarte. Jagna uśmiechnęła się lekko. Najwyraźniej właściciel nie spodziewał się z niczyjej strony zagrożenia. To utwierdziło ją w przekonaniu, że Erazm naprawdę nawet nie domyśla się, kim może ona być.

Ostrożnie wkroczyła do komnaty. Mogła czuć się bezpiecznie. Erazm raczej nieprędko wróci ze śniadania. Długo zapewne będzie dyskutować z Anzelmem. Dziewczyna wolą jednak nie ociągać się i jak najszybciej stąd wyjść. Dokładnie przejrzała papiery zaścielające powierzchnię stolika, nie wzbudziły jednak jej zainteresowania. Rozejrzała się po pokoju. Jak i pozostałe wnętrza zamku, urządzone były gustownie lecz bez przepychu. Jagna musiała przyznać z rozczarowaniem, że niewiele można by tu znaleźć kryjówek. Przeszło jej przez myśl, że może wcale nie odnaleźć tego, czego poszukuje. Erazm mógł to schować w dużo bardziej niedostępnych zakamarkach zamku, lub nawet zniszczyć. Ale nie. Tego nie uczyniłby. Nie odrzuciłby przecież takiej mocy, nawet jeśli nadal nie potrafił z niej korzystać.

Dziewczyna podeszła do łoża i uniosła poduszkę. Tu również ani śladu. Może będzie musiała ją rozpruć. Skrzywiła się na tę myśl. Nie zdoła już wtedy ukryć faktu, iż przeszukiwała komnatę Erazma.

Schyliła się jeszcze i zajrzała pod łóżko. Jej twarz rozjaśnił uśmiech. Bez wysiłku wyjęła kilka szeleszczących, starych manuskryptów.

Pośpiesznie przebiegła wzrokiem po pierwszym z nich, ale odłożyła go, nieukontentowana. Natomiast spojrzawszy na drugie pismo, przez dłuższą chwilę nie mogła oczu od niego oderwać.

– Niemożliwe – wyszeptała. – A zatem on nie musi zginąć. To nie jego śmierci potrzeba.

– Co tu robisz?

Ten głos sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Odwróciła się gwałtownie, ale jej oczom ukazał się tylko Wawrzyniec, stary, zręczliwy sługa Erazma.

– Ja... sprzątam tu trochę – wyjaśniła.

Wawrzyniec spojrział na nią spode łba.

– A mój pan wie o tych... porządkach? – spytał podejrzliwie.

– Czynię to z jego rozkazu – rzekła Jagna. – Gdy wróci ze śniadania, będzie zachwycony porządkiem.

– Ze śniadania? – powtórzył sługa. – Obaj panowie opuścili zamek.

– Jakże to? Naprawdę?

– O niczym nie wiesz co się w zamku dzieje, co? – prychnął pogardliwie Wawrzyniec. – Na jakim świecie wy, młodzi, życie?
 – Ale w jakimże celu mieliby zamek opuszczać, nie uprzedziwszy mnie uprzednio? – zdziwiła się Jagna.
 – A czy ze wszystkich swych planów mają zwierzać się takiej prostej wieśniaczce? – zakpił sługa. – Pojechali nad jezioro. Licho wie po co!
 – Nad jezioro? – Jagna pobladła. – Muszę natychmiast...
 Wbiła w Wawrzyńca gorączkowe spojrzenie.
 – Dawno pojechali? – spytała szybko.
 – Ledwie przed chwilą – odparł.
 – Konno?
 Twarz Wawrzyńca przybrała wyraz udawanego podziwu.
 – Ależ panienka przenikliwa – zadrwił.
 – A zostały jeszcze jakieś konie? – zapytała.
 – A co? Chcesz ich gonić? Umiesz w ogóle konno jeździć?
 – Odpowiadaj, gdy pytam. Czy są jeszcze jakieś konie?
 – Może i są, ale nie dla takich jak ty – odrzekł Wawrzyniec.
 Jagna odepchnęła go i bez słowa wyszła z komnaty.

XIII

Zbliżając się do jeziora, Anzelm znów poczuł, jak przepełnia go lęk. Zawsze odczuwał niepokój w pobliżu tego akwenu, wcześniej jednak zdawał mu się on irracjonalny. Teraz miał już pewność, że zbliżając się do jeziora, naraża się siłom nieczystym.

Wstrzymali konie i zeskoczyli na ziemię. Erazm dobył miecza, Anzelm zaś poszedł w jego ślady. Jedną dłoń zaciskał kurczowo na otrzymanym od brata krzyżyku.

– Jakże teraz wywołać tego demona na powierzchnię? – zastanowił się Erazm.

– Nie wiem – przyznał Anzelm.

– Nie zejdziemy jednak pod wodę. To ta zmora musi przyjść do nas – uznał Erazm.

Przez chwilę wpatrywał się w porośnięty trzciną brzeg, po czym wykrzyknął donośnie:

– Przybądź, demonie z wody! Oto nadeszliśmy, by zadać ci śmierć! Położymy kres twemu istnieniu! Nie uchylaj się od kary za twe niegodziwości! Kimkolwiek jesteś, upiorze, chciałeś skrzywdzić mego brata, za co spotka cię to, na coś zasłużył!

Głos jego dawno już przebrzmiał, tafla wody wszakże wciąż pozostawała niewzruszona. Erazm westchnął i spojrzał na brata z wyrazem tryumfu.

– I gdzież twój demon? – zapytał.

Anzelm przygryzł wargę.

– Może trzeba głośniej? – zasugerował.

– Jeszcze głośniej? Gardłom już sobie do szczętu wykończył – rzekł Erazm. – Teraz ty się drzyj.

– To upiór – przypomniał Anzelm. – Nie sądzę, żeby miał przybyć na wołanie.

– Powinien – stwierdził Erazm z całym przekonaniem.

– Dlaczego? Bo mówisz, że chcesz go zabić? Wielce zachęcające – zakpił Anzelm.

– Powinien się ukazać, jeśli rzeczywiście tu jest – rzekł Erazm. – To my władamy Brzezinami.

– Demony nie uznają ludzkiej władzy – stwierdził Anzelm.

Erazm obdarzył brata lekkim uśmiechem.

– Żebyś tak siebie słyszał – powiedział. – Kilka dni temu za nic wiary być nie dał w żadną historię o siłach nadprzyrodzonych. Teraz zaś nagleś się stał znawcą demonów.

– Wielem ostatnio widział i przeżył – odrzekł posepnie Anzelm. – To zmienia człeka. Erazm w zamyśleniu pogładził się po podbródku.

– Mówiłeś, że ta wodna mara chce ciebie, tak? – odezwał się wreszcie.

– Niestety – potwierdził Anzelm. – Takie już me szczęście.

– Nachyl się więc, bracie, nad wodą – rzekł Erazm. – Musisz ukazać jej swe oblicze. Jeśli chodzi jej naprawdę o ciebie, to tylko w tenże sposób wywabimy ją na powierzchnię.

– Muszę przyznać, że słusznie prawisz – powiedział Anzelm niechętnie, gdyż nie uśmiechała mu się myśl, iż znów będzie musiał spojrzeć w toń tego przeklętego jeziora.

– Miej tylko miecz w gotowości. – rzekł Erazm. – Ja stanę z boku nieco, ażeby mnie przedwcześnie zmora owa nie ujrzała. A gdy na powierzchnię wody wychynie, rzucimy się ku niej i pewnikiem padnie pod ciosami naszej broni.

Anzelm nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

– Oby, bracie – powiedział. – Oby ziściły się te nadzieje.

Odetchnął głęboko.

– A zatem pora, bym odegrał swą rolę przynęty – rzekł. – Nawet jeśli nie w pełni mi owa rola odpowiada.

Erazm zatrzymał go jeszcze na chwilę.

– Daj krzyż – powiedział. – Jeśli to coś jest demonem piekielnym, nie wyjdzie z wody, gdy poczuje, że siła Pana jest z tobą.

– Słusznie. Złęknie się – przyznał Anzelm. – A nie po tośmy przybyli, by upiora przestraszyć. Oddał Erazmowi krzyżyk.

– Zrób z tego użytek, bracie, gdy maskara się ukaże – powiedział.

– Możesz być o to spokojny – zapewnił go Erazm.

Anzelm wolno, ostrożnie zbliżył się do jeziora. Z każdym krokiem czuł coraz silniejszy opór. Przypisywał to ogarniającemu go lękowi, jednak miał wrażenie, jakby to niewidzialna siła starała się go powstrzymać. Erazm postępował tuż za nim.

Wreszcie Anzelm stanął nad wodą i nachylił się, spoglądając prosto w jej taflę. Ujrzał w niej tylko swe odbicie, ale to w jakiś niezwykły sposób wzmogło jeszcze jego niepokój. Wpatrując się w swoją twarz, nie mógł nie zauważyć przerażenia w swych oczach. Tak naprawdę, przemknęło mu przez myśl, sam wygląda jak upiór.

– Widzisz ją? – dobiegł go szept Erazma.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w swe odbicie jak zahipnotyzowany. Nagle wstrząsnął nim dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest to już jego twarz. Spoglądała na niego z wody trupio blada niewiasta o twarzy bez żadnego wyrazu, a jednak emanującej jakimś niezwykłym wręcz złem.

Anzelm bezgłośnie poruszył ustami, nie będąc w stanie wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Wiedział, a przynajmniej miał wrażenie, że póki stoi na brzegu, istota nie może zrobić mu krzywdy, jednak spoglądanie w jej martwą twarz przyprawiało go o szaleństwo. Wreszcie z jego gardła dobył się zduszony szept.

– Jest tutaj.

Ledwo to rzekł, poczuł z tyłu potężne popchnięcie i runął w toń wody. Z przerażeniem bliskim obłądu zorientował się, że pogrąża się w głębi. Usiłował rozpaczliwie wychynąć na powierzchnię, wiedząc, iż przy brzegu woda jest płytka, w tym momencie jednak uczył chwyt zimnych rąk i niespodziewana siła pociągnęła go na głębię. Pociemniało mu przed oczami. Przez jego głowę przebiegał strumień gorączkowych myśli, których w obliczu śmierci nie potrafił już okiełznać. Usiłował w tej ostatniej chwili skierować umysł ku Bogu, nie potrafił jednak myśleć o niczym. Cały czuł się przepełniony przerażeniem, które nie pozostawiało miejsca na cokolwiek innego.

Wypuść go ze swych objęć. Pozwól wrócić.

Nie wiedział w jaki sposób usłyszał ten głos w tej wodnej toni. Wydawało mu się, że wypełnia on jego głowę, choć wiedział, że nie jest skierowany do niego.

Nie występuj przeciwko mnie.

Te słowa wyrzekł już kto inny. Anzelm miał wrażenie, że jest mimowolnym świadkiem rozmowy jakichś dwóch, potężnych sił.

Wypuść go. To nie jego śmierć jest potrzebna. Znalazłam manuskrypt. Nie na tym polegać ma zemsta. Musisz zniszczyć tych, którzy przyczynili się do twojej śmierci. Anzelm nie miał z tym nic wspólnego. Nie uśmiercaj go, a wyświadczy ci przysługę. Inaczej nigdy nie spełnisz swej powinności.

W następnej chwili Anzelm poczuł, że więzący go chwyt ustąpił. Był wolny. Ostatkiem sił wypłynął na powierzchnię. Głęboko zaczerpnął powietrza. Szybko podpłynął do brzegu i zupełnie wyczerpany wyczołgał się z wody. Długą chwilę leżał bez ruchu o niczym nie myśląc. Był oszołomiony bliskością śmierci jakiej przed chwilą doświadczył.

– Jakże się czujecie? Ledwie zdążyła.

Uniósł głowę na dźwięk tego głosu i ujrzał Jagnę. Dziewczyna przyklękła przy nim.

– Nic wam nie będzie – zapewniła.

Anzelm zerwał się z ziemi.

– Co tu robisz?! – zawołał. – Gdzie Erazm?!

– Zapewne w lesie – odparła Jagna.

– O czym ty mówisz? – Anzelm coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. – Coś mu grozi?

Skinęła głową.

– Grozi, bo go zabijecie – rzekła.

– O czym ty mówisz? Ja miałbym zabić swojego brata? Czyś ty zupełnie zmysły postradała?!

– wykrzyknął.

– Właśnie ocaliłam wasze życie – odparła Jagna. – Liczyłam na więcej wdzięczności z waszej strony. I dziwne mi, że tak się przejmujecie swym bratem, który ledwie przed paroma chwilami wepchnął was wprost w objęcia tej, która mieszka w wodzie.

Anzelm wytrzeszczył oczy.

– Erazm wepchnął mnie do jeziora? – wykrztusił. – Po co?

– By was zabić. To proste. Wydał was mojej matce.

– Jakiej matce? Myślałem, że twa matka nie żyje.

– I jest tak w istocie.

– O kim więc mówisz? – Anzelm niczego już nie rozumiał.

– O mojej matce – wyjaśniła Jagna. – Tej, która mieszka w wodzie.

Anzelm wzniósł wzrok ku niebu w geście rozpaczony.

– Czy ty już nigdy nie będzie normalnie?! – wykrzyknął.

Przeniósł na Jagnę swe obłądne spojrzenie.

– Możesz mi to wyjaśnić od początku do końca, bo nie pojmuję już niczego? – poprosił słabym głosem.

– Przepraszam, że nie powiedziałam wam wszystkiego, panie – rzekła Jagna. – Nie powiedziałam wam prawdy o tej, która mieszka w wodzie.

– Ale czemu? – zapytał.

– Bo miałam was zabić, a tak było łatwiej.

Zmarszczył brwi.

– Jakże to? Ty? Ty miałaś mnie zabić? Nie wystarczy, że ta wodna zmora usiłowała mnie uśmiercić? Nie wystarczy, że mój własny brat chciał mnie pozbawić życia?! – wykrzyknął Anzelm, bliski obłądu. – Czy jest w Brzezinach ktokolwiek, kto nie chce mnie zabić? Czym ja wam wszystkim zawiniłem?

– Nie wy. Wasz ojciec – odrzekła Jagna. – Moja matka nie utopiła się z rozpaczony.

– Nie? Mówiłaś, że mój ojciec ją odrzucił – przypomniał Anzelm.

- Odrzucił – przyznała Jagna. – I zabił.
- Mój ojciec był prawym człowiekiem. Czemuż miałby zabić niewiastę? – zdziwił się Anzelm.
- Bał się jej – rzekła Jagna.
- Anzelm zmarszczył brwi.
- Bał się?
- Lękał się jej mocy. Moja matka była wiedźmą.
- Taką prawdziwą?
- Tak. Nauczyła się wykorzystywać siły piekielne do swych celów. Zawarła pakt z szatanem. Otrzymała siłę, która z biegiem czasu, gdyby nauczyła się ją całkowicie kontrolować, mogłaby uczynić ją naprawdę potężną osobą – powiedziała Jagna. – Wasz ojciec, panie, dowiedział się o tym dopiero po jakimś czasie i od tego momentu lękał się jej uczucia. Zrozumiałe, że bał się związać z wiedźmą, lecz lękał się również tego, co mogłaby mu uczynić, gdyby ją odrzucił.
- Wcale mu się nie dziwię – rzekł Anzelm.
- Pewnego pięknego, słonecznego dnia wzięli łódź i wypłynęli na jezioro, co nieraz już wcześniej czynili. Ale tym razem, gdy łódka przybiła do brzegu, nie było w niej już mej matki. Manfred wrócił sam. I mimo, iż twierdził, że moja matka utonęła na skutek nieszczęśliwego wypadku, wszyscy wiedzieli jak było naprawdę. Nikt jednak nie nazwał go zbrodniarzem i nikt nie żywił do niego nienawiści. Mieszkańcy Brzezin zawsze lękali się wiedźmy, tak jak lękaliby się każdego obdarzonego tak potężną mocą.
- Jak potężną? – spytał Anzelm.
- Tak naprawdę, nie wasz ojciec, lecz ona sprawowała władzę nad tą okolicą. Nikt nie ośmielił się jej nigdy sprzeciwić. A władza ta była większa od jakiegokolwiek ludzkiej, bo nawet drzewa, trawy, kamienie i wszystko co tylko znaleźć można w okolicy Brzezin, było jej posłuszne. – Jagna westchnęła. – Cóż mówię? Nadal jest. Śmierć jest zbyt słaba, by zniszczyć taką moc.
- Szkoda – rzekł Anzelm.
- Czyżby? Na miejscu swojego ojca postąpilibyście tak samo? – spytała Jagna.
- Słudzy Piekła nie zasługują na życie – stwierdził.
- Manfred nie był aż tak pewny co do słuszności swego czynu. Z pewnością morderstwo, którego był się dopuścił, zniszczyło jego umysł i duszę. Nieraz widywano go przechadzającego się samotnie brzegiem jeziora i spoglądającego posępny, rozpaczliwym wzrokiem w wodę. Aż w końcu raz nie wrócił z przechadzki. Służba znalazła na brzegu jeziora jego martwe ciało.
- Anzelm wzdrygnął się.
- Wiedźma go zabiła? – domyślił się. – Zemściła się?
- Jagna skinęła głową.
- Zemściła – potwierdziła. – Częściowo. Klątwa nie zostanie zdjęta dopóki zemsta się nie dopełni.
- To ta klątwa nie pozwala opuścić Brzezin?
- Można przejść przez las tylko w jedną stronę. Nie da się uciec. Erazm zapewne właśnie teraz próbuje tego dokonać, przekonany, że klątwa została zdjęta.
- To on... on wie o tym wszystkim? – wykrztusił Anzelm. – I niczego mi nie powiedział?
- Byłby głupcem, mówiąc wam o tym – stwierdziła Jagna. – Chciał was przecież oddać w ręce mojej matki.
- Nadal trudno mi w to uwierzyć – westchnął Anzelm.
- Prawie mu się udało – zauważyła Jagna. – Erazm też nie zamierza spędzić całego życia w obłożonych klątwą Brzezinach. Czy myślicie, panie, że nie próbował się wydostać? Ale to niemożliwe, dopóki zemsta się nie dopełni. Dlatego wydał was mojej matce. Myślał, że wasza

śmierć da mu wolność. Jesteście synem Manfreda, w waszych żyłach płynie jego krew. By dopełnić zemsty na Manfredzie, należało więc zabić również was. To zdjęłoby klątwę. Tak przynajmniej myśleliśmy.

– Ale powstrzymałaś swoją matkę przed uśmierceniem mnie – zauważył Anzelm.

– Okazało się, że się myliliśmy. Dowiedziałam się o tym dopiero dziś. Znalazłam wreszcie manuskrypty.

– Jakie manuskrypty?

– Moja matka nauczyła się z nich wielu uroków – wyjaśniła Jagna. – Nigdy nie powiedziała mi, skąd je miała. Po jej śmierci zostały zabrane na zamek. Od początku podejrzewałam, że ich nie zniszczono.

– Myślisz, że mój ojciec chciał z nich skorzystać? Że chciał osiąść władzę nad ciemnymi mocami?

– Przypuszczam, że Erazm miał na to ochotę. To za jego podszeptem Manfred zabił moją matkę.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Anzelm.

– Ona mi powiedziała. Wie więcej niż mogłoby się wydawać.

– Czyżby? Jakoś nie przewidziała, że szykuje się zamach na jej życie – zauważył Anzelm z lekką drwiną. – Ale mniejsza o to. Jeśli pozbycie się tej przeklętej wiedzy było pomysłem Erazma, to mogę mu go tylko pogratulować.

– Jesteście okrutni – stwierdziła poważnie Jagna.

– Nie żywię sympatii do kogoś, kto dwukrotnie już usiłował pozbawić mnie życia. Masz o to do mnie żal? – odparł Anzelm. – Nie mówmy wszakże o tym. Wróćmy lepiej do tych manuskryptów, któreś wspomniała. Czytałaś je? Potrafisz?

– Wiem, że to niespotykane wśród wieśniaków, ale matka miała większą wiedzę niż ktokolwiek z nich. Nauczyła mnie czytać. Manuskrypty znalazłam w komnacie Erazma. W tymże właśnie celu przybyłam na zamek, ażeby je odszukać. Nie omyliłam się w swych sądach. Nie zostały zniszczone. Przejrzawszy je, odkryłam, że to nie waszej śmierci trzeba, by dopełnić zemsty i zdjąć klątwę. Uradowało mnie to.

Anzelm spojrzał jej w oczy z irytacją.

– Ale gdybyś nadal sądziła, że moja śmierć jest potrzebna do zdjęcia tej klątwy, zrobiłabyś wszystko, by mnie zabić, czy tak? – rzekł.

Spuściła głowę.

– Osądzacie mnie, panie, nic o mnie nie wiedząc – powiedziała. – Może ta, którą utopił wasz ojciec, była wiedźmą, lecz była również moją matką. Nikt nigdy nie dał mi tyle uczucia, co ona. Po jej śmierci nikt nie chciał mnie wziąć pod swe skrzydła. Każdy obawiał się córki wiedźmy. W końcu tylko Maciej okazał trochę serca.

– Nie o tom pytał – spostrzegł Anzelm. – Czy twoja matka wymagała od ciebie pomocy w dopełnieniu zemsty?

– Tak – odparła Jagna.

– I pomogłabyś jej?

– Powstrzymałam was przed zbliżaniem się do wody. Nie pamiętacie tego?

Anzelm w istocie zapomniał o tym fakcie. Nie, Jagna nie nastawała na jego życie. Sprzeciwiła się rozkazom matki, mimo jej złej mocy, którą mogła przecież skierować przeciw córce. Spojrzał teraz na dziewczynę z wyrazem wdzięczności.

– Powiedz zatem, kto musi zginąć, by dopełnić zemsty? – zapytał.

– Wszyscy, którzy przyczynili się do śmierci mej matki – odrzekła Jagna.

– Ojciec już poniósł śmierć. Pozostał...

– Pozostał ten, za którego podszeptem dokonał tego morderstwa. Erazm. Musi zginąć. Nie wzdragajcie się przed tym czynem. Wepchnął was do jeziora. Chciał was zabić, pewien, jak i

my, że to zdejmie klątwę i będzie mógł opuścić Brzeziny. Tymczasem tylko jego śmierć może zniszczyć zły urok.

Anzelm przygryzł wargę.

– Jak ciężko pogodzić się z tymi wieściami. Własny brat wystąpił przeciw mnie – powiedział.

– Raczej spodziewałbym się wszystkiego innego, niż że doczekam tak bolesnej chwili.

– Jeśli wasz brat chciał poświęcić wasze życie by ratować swoje, wy również macie do tego prawo – stwierdziła Jagna.

– Nie mogę go zabić – westchnął Anzelm. – Może on chciał mieć morderstwo na sumieniu, ale ja nie chcę.

– Cóż słyszecie?! – zdumiała się Jagna. – A ci wszyscy Maurowie i Saraceni, których uśmierciliście?

– To byli poganie – zauważył Anzelm.

– To byli ludzie – sprostowała dziewczyna. – Macie krew na swych rękach, Anzelmie. Nic tego nie zmieni. Erazm będzie tylko kolejną z waszych ofiar.

Anzelm milczał, wstrząśnięty. Nigdy nie myślał o swych wojennych dokonaniach w ten sposób.

– Nie zabiję Erazma – powiedział, choć bez pewności w głosie. – Nie wydam go tej wiedzy!

– A zatem nie będziecie mogli opuścić tego miejsca – rzekła Jagna. – Pozostaniecie tu do końca swych dni, otoczeni złymi mocami, nastającymi na wasze życie.

Anzelm wbił wzrok w ziemię.

– Czuję się jak zabawka w rękach złych sił – powiedział. – Igrają ze mną i czynią bezwolnym narzędziem. Nigdy już nie zaznam spokoju, jeśli poświęcę życie mego brata.

– On nie miał takich skrupułów – zauważyła Jagna. – Erazm nie wahał się pewnie ani chwili.

– Jestem Anzelm, nie Erazm. Nie wolno mi o tym zapomnieć.

– Czy będziecie potrafili żyć w Brzezinach aż do kresu swych dni, panie? Nie będziecie tęsknić za światem?

Westchnął ciężko. Nie, nie zdoła żyć w zamknięciu, otoczony przez złe moce.

– Całym sobą wzdramam się przed tym, co muszę uczynić – powiedział. – Atoli nie pozostawiono mi wyboru.

– Nie zapominajcie, że Erazm jest waszym wrogiem, tym gorszym, że udawał kochającego brata – rzekła Jagna. – Nad takim potworem niepodobna się litować.

– Toteż nie lituję się nad nim, lecz nad swą duszą – odrzekł Anzelm. – Nic nie zmyje ze mnie tej zbrodni. Czemu więc się na to godzę?

– Bo przeraża was myśl o życiu w ciągłym lęku – stwierdziła Jagna. – I słusznie. Trzeba raz na zawsze położyć kres władaniu złych sił nad tą okolicą.

– Tak – rzekł Anzelm pewnym głosem. – Tak, masz rację. Trzeba. Nie zwlekajmy więc. – Zacisnął dłoń na rękojeści swego miecza. – Gdzież znajdziemy Erazma? Zapewne usiłuje się przedostać przez las, pewien, że klątwa zdjęta.

– A zatem trafi tu nieuchronnie z powrotem – dodała Jagna. – Chodźmy wzdłuż linii lasu. Mam przeczucie, że w ten sposób najłatwiej się na niego natkniemy.

– Przeczucie? No tak, ty przecież również bratasz się z ciemnymi mocami, jako córka wiemy – zauważył Anzelm nieufnie.

– To prawda – przyznała. – Ale przyrzekam, że, gdy tylko klątwa zostanie zdjęta, wyrzeknę się tego dziedzictwa.

XIV

W cieniu drzew dostrzegli leżące bezwładnie ciało. Przyśpieszyli kroku, pewni, że nie może to być nikt inny, jak tylko Erazm. Jakoż nie omylili się. Przybrany brat Anzelma leżał

bez przytomności. Anzelm nie musiał nawet zastanawiać się nad tym, co też mogło się wydarzyć. Zbyt dobrze pamiętał jeszcze swoją próbę ucieczki przez las, zakończoną szaleńczym biegiem i utratą świadomości.

Dłoń Erazma zaciskała się kurczowo na krzyżyku, który podarował był Anzelmowi.

– Nie ochronił cię przed klątwą? – westchnął Anzelm.

Skierował wzrok na Jagnę.

– Możemy to zrobić, póki jest nieprzytomny – rzekł. – Przenieśmy go nad jezioro.

Zadanie to zajęło im trochę czasu, mimo iż do jeziora nie było daleko. W końcu złożyli bezwładnego Erazma na ziemi. Anzelm wpatrywał się w brata otepiałym wzrokiem, nie będąc w stanie zabrać się do tego, co musiał uczynić.

– A zatem pora przystąpić do dzieła – odezwała się Jagna, gdy chwila beczynności jąła przeciągać się w nieskończoność. – Na cóż jeszcze czekacie?

– On nie pozostawił mi cienia szansy na obronę przed mocami piekielnymi – rzekł cicho Anzelm. – I ja mu nie pozostawię. – To powiedziawszy wyjął krzyżyk z dłoni brata. – Nie zasłużyłeś na pomoc Wszechmogącego, Erazmie.

– Czas działać, Anzelmie – rzuciła ponagłajaco Jagna. – Nie odwlekajcie tego, co nieuniknione.

Anzelm usiłował wzbudzić w sobie nienawiść do brata, za to wszystko, co Erazm chciał mu uczynić. Wiedział, że łatwiej byłoby mu wtedy wydać go na pastwę upiorowi z jeziora. Jednak widok nieprzytomnego Erazma, który nie był w stanie nawet się bronić, odbierał Anzelmowi siłę do działania.

– Nie mogę – powiedział. – Nie zabiję go.

– Nie wycofujcie się, gdy jesteście już tak blisko zdjęcia klątwy! – wykrzyknęła Jagna.

– Jeśli to uczynię, nigdy już nie będę mógł nazwać się chrześcijaninem – uznał Anzelm.

– Ale będziecie wolni – spostrzegła Jagna. – Nikt nie obiecywał, że to będzie łatwy wybór.

W tym momencie usłyszeli przeciągły jęk. Erazm dochodził do siebie.

– Szybko! – poganiała Jagna.

Ale Anzelm wiedział już, że nie uczyni tej zbrodni. Woli do końca życia mieszkać w przeklętej wsi, niż zostać potępionym po śmierci. Ogarnęło go uczucie dumy z tego szlachetnego postanowienia i to utwierdziło go jeszcze w jego decyzji.

Erazm otworzył oczy i natychmiast zerwał się, przerażony.

– Odejdź! – wykrzyknął drżącym głosem w stronę Anzelma. – Odejdź, demonie! Ty nie żyjesz! Nie możesz!

Obląkanym wzrokiem powiódł dokoła.

– Brzeziny! – zawołał z rozpaczą. – Nie może być! To Brzeziny! To jakiś koszmar! Czy trafiłem do Piekła?!!

– Jeszcze nie – odparł Anzelm. – Ale powinienes.

– Wszystko ci wyjaśnię, bracie... – wykrztusił Erazm.

– Niczego nie musisz mi tłumaczyć. Wszystko już wiem – odparł Anzelm.

– Skąd? Jakimże cudem?! – zajęczał Erazm. – To wszystko nie tak! Nie chcę spędzić reszty życia w tej przeklętej wsi!

– Jesteś na to skazany – rzekł Anzelm. – To ty przyczyniłeś się do utopienia tej wiedzy. I to twojej śmierci potrzeba, by zdjąć klątwę.

– Klątwę?!

– By zapanował spokój.

– Jakiż spokój?! – wykrzyknął Erazm.

– Wiedźma z jeziora chce dopełnić swej zemsty – wyjaśnił Anzelm.

– O tak! Wiem o tym doskonale! – Erazm zaśmiał się szaleńczo. – To zdejmie z niej całun śmierci!

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Anzelm.

– Cóż cię tak dziwi? Rzekłeś, że wszystko już wiesz, widzę jednak, że, skądkolwiek czerpałeś swą wiedzę, jest ona niepełna.

– Oświeć mnie więc, bym wiedział to, co ty.

– Mamy do czynienia z urokiem, który nie do końca rozumiemy, bracie – odrzekł Erazm. – Ta wiedźma zawarła pakt z siłami ciemności i działa według ich zasad.

– Jakich zasad? – nie rozumiał Anzelm.

– Życie za życie – wyjaśnił Erazm.

– Cóż to oznacza?

– Śmierć mordercy wróci życie zamordowanej. Gdy wiedźma dopełni zemsty, wróci do życia – rzekł Erazm posepnie. – A nie chciałbym tu być, gdy to się stanie.

– Bez obawy, nie będzie cię – zapewniła go Jagna.

– Ty... ty wiedziałaś o tym, prawda?! – wykrzyknął ku niej Anzelm. – Nie chciałaś wcale zdejmować żadnej kłatwy! Chciałaś wskrzesić swoją matkę!

W oczach Jagny zabłyśły złe ogniki.

– Czyż takie to dziwne? – spytała. – Rodzina musi sobie pomagać.

– Jak mogłaś mi to uczynić?! – zawołał. – Otaczają mnie sami zdrajcy! Wmówiłaś mi, że zabijając brata zdejmę kłatwę! Chciałaś uczynić ze mnie swe narzędzie!

Cofnęła się, widząc jego gniew.

– Żywię do ciebie sympatię, Anzelmie – powiedziała. – Ale jeśli kazałbyś mi wybierać między moją matką a tobą, nie wahałabym się ni chwili.

Anzelm skierował szaleńczy wzrok znów w stronę Erazma.

– Wszyscy, którym ufałem, okazali się mymi wrogami! – W jego głosie brzmiała rozpacz.

– Nie można być zbyt ufny, bracie – rzekł Erazm.

– Nie rozumiem cię. Co chciałeś zyskać? – spytał smutno Anzelm. – Myślałeś, że moja śmierć ożywi wiedźmę. Ale nie chciałeś przecież jej chyba przywracać do życia!

– Nawiedzała mnie w snach – powiedział Erazm. – Obiecała, że gdy jej pomogę, pozwoli mi odejść.

– Ona też sądziła, że to moja śmierć będzie ostatnim krokiem na jej drodze do odzyskania postradanego życia – rzekł Anzelm.

– Płynie w tobie krew jej zabójcy – zauważył Erazm.

– Tak, ale to ty przyczyniłeś się do jej śmierci, nie ja – przypomniał Anzelm. – Teraz ona już także wie, że to twoja śmierć da jej życie.

Erazm pobladł.

– Ale chyba... chyba nie chcesz przecież jej wskrzesić, prawda? – powiedział.

– Masz mnie za takiego zdrajcę, jakim sam jesteś? – spytał Anzelm.

Erazm cofnął się ostrożnie.

– Nie dam się zabić! – zawołał.

– Nie zamierzam robić ci krzywdy – zapewnił Anzelm. – Choć mam do tego święte prawo. Nie skieruję się przeciw tobie.

– Teraz nie. Ale co będzie za rok? Co za dwa lata? Co za dziesięć?! Jesteśmy skazani, by pozostać w tej przeklętej wsi! Skąd mam wiedzieć, kiedy nie będziesz miał już siły, by dalej znosić to więzienie?

– Nie jestem tobą, bracie. Ja nie będę knuć przeciw tobie.

– Nie będę żył w przeczuciu nadchodzącego zagrożenia. – Erazm wyglądał jak szaleniec. – Nie mogę być tu uwięziony razem z tobą. Nie wiem jak długo wytrzymasz, ale nigdy nie będę miał pewności, kiedy wbijesz mi nóż w plecy! – wyszarpnął zza pasa niewielki sztylet.

– Bracie! – zawołał Anzelm. – Przestań! Nie jestem mordercą.

– Jeszcze nie – zaznaczył Erazm z obłądnym uśmiechem. – Bądź mi wdzięczny. Nie pozwolę ci się nim stać!

Z tym szaleńczym okrzykiem rzucił się na Anzelma. Ten w ostatniej chwili chwycił dłoń Erazma w przegubie. Siłowali się przez chwilę w tym śmiertelnym uścisku. Sztylet upadł na ziemię. Wreszcie Anzelm, zebrawszy w sobie całą swą siłę, zdołał odepchnąć Erazma. Ten zachwiał się i runął prosto w toń jeziora.

Z wody natychmiast wychynęły blade dłonie i pochwyciły szamoczącego się człowieka. Anzelm doskoczył do brata, ale Erazm zniknął już pod wodą.

Anzelm cofnął się przezornie. Nic już nie mógł zrobić. Erazma spotkała śmierć, której on sam dwukrotnie ledwo umknął. A to oznaczało, że wiedźma wróci do życia. Anzelm wolał nie wyobrażać sobie, jakich strasznych rzeczy może dokonać ta służąca Piekieł, skoro już zza grobu potrafiła tyle lęku zasiać w jego duszy.

I oto rzeczywiście z wody poczęła się wyłaniać niewiasta. Gdyby nie to, że się poruszała, Anzelm mógłby przysiąc, że wciąż ogląda nieboszczkę, tak była blada i przerażająca. Utkwiła w nim spojrzeń swych zimnych, wodnistych oczu.

– To ty przywołałeś mnie na powrót do życia – rzekła beznamiętnym tonem.

Jej głos sprawił, że Anzelma przeszył dreszcz.

– To był wypadek... – wymamrotał.

Wiedźma uśmiechnęła się złowieszczo. Uśmiech ten był stokroć bardziej niepokojący niż uprzedni brak wyrazu, który gościł na jej twarzy.

– Liczysz, że otrzymasz coś w zamian? – zaśmiała się.

– Powiedziałem... to był wypadek... – powtórzył Anzelm. – Ale chciałbym móc stąd odejść.

Poczuł na ramieniu dłoń Jagny.

– Dajże już temu pokój – rzekła. – Żle ci w Brzezinach?

Wyrwał się jej.

– Nienawidzę tego miejsca! – wykrzyknął. – Pozwólcie mi odejść!

– Zbyt bardzo cię polubiła, Anzelmie – rzekła Jagna. – Jakże to? Chcesz mnie opuścić?

– Słyszałeś? Mejej córce zależy, byś tu został – powiedziała wiedźma. – Nie podoba ci się w Brzezinach? Będziesz musiał przywyknąć do tego miejsca.

Anzelm cofnął się. Nie wyobrażał sobie niczego gorszego od uwięzienia tu z dwiema niewiastami, które zaprzedały dusze szatanowi.

– Ja zaś będę mogła kontynuować swą naukę – rzekła wiedźma. – Stokroć jeszcze potężniejszą mogę mieć siłę. Jakichże rzeczy nie będę mogła wtedy dokonać? Mając wsparcie takich mocy, można sięgnąć po wszystko.

– Nie pozwolę ci! Wracaj do Piekła! – wykrzyknął porywczo Anzelm, rzucając się ku niej z mieczem. Usłyszał już tylko przeraźliwy krzyk Jagny, gdy ostrze przebiło jej matkę. Wiedźma nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Osunęła się na ziemię.

– Morderca! – zakrzyknęła Jagna.

– Taki los spotkać musi każdego, kto wchodzi w konszachty z szatanem – rzekł stanowczo Anzelm.

– Zabiłeś ją! A w takim razie tylko twoja śmierć może na powrót przywrócić jej życie. – Jagna podniosła z ziemi sztylet.

– Nie zwracaj się przeciw mnie! – ostrzegł Anzelm, kierując ku niej miecz. – Nie chcę i ciebie mieć na sumieniu!

– Nie zaznam spokoju, póki nie utopię tego ostrza w twej piersi! – wykrzyknęła dziewczyna z pasją. – Tak naprawdę niczegoś nie zyskał. I tak nie możesz stąd odejść.

– Mimo to spróbuję – rzekł Anzelm.

– Moja matka nie pozwoli ci odejść. Spotka cię tu śmierć. Wiesz przecież, że nawet będąc martwą, włada tu za pomocą swej mocy – powiedziała Jagna złowieszczo.

– Tak było dotychczas – przyznał. – Ale jest Ktoś silniejszy od niej.

To powiedziawszy przyklęknął przy ciele wiedźmy i zawiesił jej na szyi krzyżyk, który odebrał był Erazmowi.

Nierozsądnym było spuszczać Jagnę z oczu, nie podejrzewał jednak, że naprawdę mogłaby go zaatakować. Było w jej oczach coś, co nie pozwalało mu w to wierzyć.

W tym momencie jednak Jagna rzuciła się ku niemu z dzikim okrzykiem nienawiści. Odwróciwszy głowę, ujrzał już tylko jak upada na ziemię. Zamarła w bezruchu. Podszedł do niej ostrożnie i odwrócił na plecy. W jej ciele tkwił sztylet, na który nadziała się upadając.

Anzelm musiał przyznać, że był to doprawdy nieszczęśliwy dla dziewczyny zbieg okoliczności, który jednak ocalił mu życie. A może to wcale nie był przypadek? Z tą myślą wzniósł wdzięczny wzrok ku niebu.

XV

Anzelm pierwszy raz przedzierał się przez ten leśny gąszcz bez towarzyszącego mu paralizującego uczucia niepokoju. Było to tym dziwniejsze, że nie miał przecież pewności, czy jego działania naprawdę przyniosą efekt. Słyszał wiele ludowych podań o unieszkodliwianiu upiorów.

Udało mu się przekonać mieszkańców Brzezin, że trzeba wyprawić wiedźmie godny pochówek. Żywił nadzieję, że chrześcijański pogrzeb winien zniszczyć piekielne moce, którymi niejako przesiąknięta była wiedźma. Liczył, że mając krzyżyk na szyi, nie będzie już w stanie mścić się zza grobu.

Westchnął ciężko. Przyjazd do Brzezin nie okazał się dla niego szczęśliwy. Przez cały swój tam pobyt miał wokół siebie samych wrogów. Omal nie zginął, a na dodatek przyczynił się do śmierci brata. Nigdy już tam nie wróci. Nie mógłby tego znieść.

"Chyba, że znów zawrócą mnie tam złe moce", przemknęło mu przez myśl.

W tym momencie jednak wyszedł z gąszczy drzew wprost na gościńiec. W jednej chwili ogarnęło Anzelma uczucie takiej ulgi, jakiej nigdy jeszcze nie doznał. Więc tym razem wraz z wiedźmą odeszła jej moc.

Ruszył gościńcem. Nie wiedział dokąd zaprowadzi go ta droga. Liczyło się dla niego tylko jedno. To, że przeżył najgorszy z koszmarów i wreszcie mógł go pozostawić za sobą.

Jeżeli zamieszczone tu utwory wierszem i prozą przypadły Wam do gustu, sięgnijcie też po inne książki autora. Szukajcie ich w internecie. Dotychczas ukazały się:

Ostatni rozdział

Fantasy w wydaniu humorystycznym. Bohaterem tej historii jest Anir, pisarz powieści heroiczych, uważany powszechnie (również przez siebie samego) za niekwestionowany autorytet w sprawach bohaterskich czynów i niebezpiecznych misji. Do tej pory życie nie zmusiło go jednak do przetestowania całej tej wiedzy w praktyce.

Lecz gdy w drodze na spotkanie z czytelnikami zostanie napadnięty przez orków, a chwilę potem trafi do niewoli u elfów, rozpocznie się największa (a właściwie jedyna) przygoda jego życia. Będzie musiał wyruszyć na niebezpieczną wyprawę, której celem będzie (a jakżeby inaczej!) ocalenie świata. Odkryje, że stawienie czoła trudom takiej misji nie jest wcale tak łatwe, jak do tej pory mu się wydawało, zwłaszcza, że towarzysząca mu drużyna, która powinna go wspierać, również w większej części nie ma doświadczenia w tych sprawach. Świat, którego losy spoczywają w rękach takiej ekipy, nie będzie miał lekko...

Moja siostra gada z baobabem !!!

Ta rozgrywająca się w afrykańskiej scenerii opowieść mówi o dwóch siostrach, córkach szamanki z plemienia Numgwato. Jedna z nich marzy, by pójść w ślady matki, podczas gdy druga wolałaby zostać łowczynią niż szamanką. Tak się jednak składa, że bogowie na swoją pośredniczkę wybierają akurat tę siostrę, która tego nie chce. Kiedy Numgwato zostają napadnięci przez lud z tajemniczego, kamiennego miasta, obie siostry muszą wyruszyć w niebezpieczną podróż, by ocalić swych współplemieńców.

Znajdziecie tu zapadające w pamięć postacie, niebezpieczne przygody w malowniczych, egzotycznych lokacjach, liczne wątki fantastyczne, a do tego tony nieskrępowanego, nieraz całkiem absurdalnego humoru.

Wybraniec

Arlan to zniewolony kraj, którego jedyną nadzieją jest zapowiedziany przez starożytne proroctwo Wybraniec. By jednak mógł on wypełnić przepowiednię, sam musi uniknąć śmierci z rąk okrutnego i potężnego Mhar-Tarhada. Amaral, potomek królewskiego rodu, niespodziewanie zostaje wciągnięty w wir wydarzeń, które mają doprowadzić do ostatecznej rozprawy z najeźdźcą. Nie podejrzewa nawet, że stawką w tej walce okaże się nie tylko wolność kraju, ale i życie jego córki. W tej historii przeplatają się losy wielu postaci, a każda z nich prócz potyczek z licznymi niebezpieczeństwami musi stawić czoła własnym słabościom.

Dajmonion

Strefa Opieki to grupa państw, w których wszystkim obywatelom wszczepia się chipy uniemożliwiające łamanie prawa. Jim, oddany swojej firmie pracownik, zostaje wciągnięty w wir wydarzeń, które wywracają do góry nogami jego dotychczasowe uporządkowane życie. Będzie musiał walczyć o swoje przetrwanie.

Powieść sf, w której wartka akcja przeplata się z filozoficznymi przemyśleniami. Opowieść o zniewoleniu umysłów i ubezwłasnowolnieniu całych społeczeństw to wizja porządku społecznego, jaki może czekać ludzkość już w niedalekiej przyszłości.

Marek Ł. J. Mazur prowadzi też blog „Mówi się trudno i czyta się dalej” (mowisietrudno.blogspot.com).